№ 51. Warszawa, dnia 7 (19 Grudnia) 1874 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI,

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabia Nr 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

O WYCHOWANIU.

Zaszczepianie w dziecku moralności.

Jakkolwiek zdawaćby się powinno, że moralność jako oparta na prawdzie i sprawiedliwości, powinna być jedna szczególniej między chrześcijanami, tak jednak nie jest. W pojmowaniu jej i stosowaniu są pewne różnice, wynikające ze złego zrozumienia ducha moralności chrześcijańskiej, lub też nie ugruntowania jej zasad w naszem jestestwie w ten sposób, aby te w każdej chwili bezwiednie prawie rządziły naszemi myślami i czynami.

Nie wdając się w rozumowanie, czy moralność ciągłemu ulega kształceniu się, czy też razem z religijnem poczuciem rodząc się w naszej duszy, mnoży tylko liczbę jednostek jej prawu ulegających i tym sposobem powiększa summę moralności ogólnej w całej ludzkości sama żadnej nie ulegając zmianie, dość nam będzie wiedzieć, że moralność to jak szlachetna latorośl, która dopiero wtenczas wydaje szlachetne owoce, gdy zaszczepiona przyjmie się i rozrośnie w gałęziste drzewo.

Tym pniem w który wszczepia się latorośl, to dziecko, a jak ogrodnik strzeże, aby nic z zewnątrz nie uszkodziło młodocianej roślinki, tak i wychowujący dzieci powinien podobnie postępować: zaszczepiać moralność słowem, gruntować własnym przykładem i bronić od szkodliwych wpływów zewnętrznych.

Utrzymują niektórzy, że najpewniejszą próbą wartości zamierzonych czynów, jest znaną maksyma, nie rób tego drugiemu co tobie nie miłe.

Zasada to samolubna, nie dość bowiem nie robić złego, ale trzeba dobrze robić, bez względu czy na tem co skorzystamy. Wprawdzie pozytywizm warszawski nie przyjmuje działania bez korzyści a poświęcanie wszelkie dla społecznego dobra lekceważy, ale doktryny te najgrubszego, najwstrętniejszego materyalizmu, nie będą nigdy stanowić zasady moralności społecznej, przynajmniej dopóty, dopóki rozum stanowczej nie weźmie przewagi nad uczuciem w całej ludzkości, który jako przedstawiciel prawdy wszystko w sobie zamyka. Na to jednak potrzeba już nie setek lat ale tysięcy a nim to nastąpi, zamiłowanie dobrych czynów bez żadnych materyalnych widoków i potrzeba poświęceń dla dobra społecznego, powinny być zaszczepiane w serca ludzkie od najpierwszej młodości.

Obawa tworzenia przez to szalonych bohaterów nie powinna od tego odwodzić: uczucia pod których przewagą zostajemy i jeszcze bardzo długo z pod ich wpływów nie uwolnimy się, bronić będą i naszych wychowańców od tej ostateczności. Złagodnieje tylko przez to wrodzone samolubstwo, i zamknięte we właściwych granicach, będzie zbliżać ludzi do siebie a nie rozbijać na jednostki samopas idące.

Dotąd oddzielanie się od społecznego dobra, uważanie siebie za świat odrębny przez złe pojęcie solidarności, przeważnie panuje w ludzkości: ile przez to dzieje się złego każdy widzi i łatwo ocenić może. Trzeba więc koniecznie wdrażać w dzieci zamiłowanie dobra i potrzebę poświęcania się dla niego dla samej jego zacności i piękności: będzie to rodzajem gimnastyki moralnej a jak fizyczna nie tworzy samych herkulesów tylko nadaje hart potrzebny całemu ciału tak zbawienny w wychowaniu, tak samo i owa gimnastyka moralna, nie będzie mnożyć samych bohaterów, tylko uczucia uszlachetniać i odstręczać je od wybryków czysto samolubnych.

Wreszcie bohaterów poświęcenia bez żadnego ograniczenia ludzkość nader mało liczy; w rozwoju jej życia oddzielają ich wieki jeden od drugiego, a i ci powstali nie skutkiem namowy, ale wewnętrznego poczucia które ich na tę drogę wprowadziło.

Zwykle zjawiają się tacy w chwilach ogólnego upadku moralnego, gdy samolubstwo wszystko i wszystkich ogarnia. Zdaje się że ludzkość nie mogąc lub nie śmiejąc, dobrze czynienia dla samego dobra wypełniać zbiorowo, wypycha jednostki ożywione poświęceniem, które skupiają w sobie to co przez nią całą powinno być praktykowane. Nie lękajmy się więc zbytecznej przesady wpływu nauki moralności w sposobie przez nas przedstawionej na młodych wychowańców; zapaleńsze głowy dające się porwać jej pięknością, praktyka życia sprowadzi do równowagi, potrzebny więc jest pewien zapas ciepła na spodziewane przez praktykę życia oziębienie, aby w pozostałej reszcie pozostało dosyć siły do utrwalenia tej równowagi, czyli godzenia własnego interesu z wymaganiami ogółu.

Mając zatem zaszczepiać w wychowańców zasady moralności chrześcijańskiej opartej na nauce Chrystusa, starajmy się otaczać ich o ile możności samem dobrem, pięknem i sprawiedliwem. Czyste powietrze jest niezbędnem w naszym rozwoju fizycznym, tak samo dla ducha ludzkiego szczególniej dopiero ocucającego się do życia, potrzebny jest świat, dobroć piękna i sprawiedliwości, aby w niej jak ciało w czystej atmosferze, rozwijał się w tem tylko co dobro, piękno i sprawiedliwość stanowi. W zgniłem powietrzu wychowaniec nędznie wyrasta, w złem otoczeniu duch jego karleje, poślubia występek i traci sąd co złe a co dobre, co godzi się a czego nie godzi robić.

Uczmy go, że dobrem nazywamy to co nikomu nie przynosi szkody, a nam daje pożytek: pięknem gdy dobro drugich mamy na względzie a własne pomijamy; sprawiedliwem gdy spełniamy to co zgodne z rozumem choć nie raz przeciwne uczuciu.

Dziecko posłuszne i dobrze uczące się postępuje dobrze, bo nie szkodzi nikomu a siebie chroni od szkody z błędów płynących i następstw nieuctwa: dziecko usuwające w tajemnicy wszystko co osobom przez nie ukochanym może sprawić przykrość, spełnia czyn piękny; uznające wreszcie słuszność rad udzielanych jest sprawiedliwem bo własne przekonanie poświęca dla uznanej przez siebie wyższości rozumu u drugich. Później gdy stanie się wyrostkiem uczmy je, że posłusznem, obok korzyści spływających na nie bezpośred-

nio, powinno być dla tego, że człowiek przez całe swoje życie musi ulegać jeżeli nie woli pojedynczych ludzi, to woli prawa i zwyczajów społecznych: że uczyć powinno się nie tylko dla swego przyszłego pożytku, ale dla społecznego; że z czasem społeczność stanie się dla niego rodziną, której jak dla rodziny winien nieść z zaparciem siebie, same uczynki piękne; że wreszcie dla sprawiedliwości powinien być gotowym w każdej chwili do poświęcenia własnych skłonności i przekonań, gdyż społeczność ginie jeżeli jednostki składające ją zapominają o tym obowiązku. Nadto należy wdrażać przekonanie, że dziecko będące dobrem, zostanie zczasem dobrym człowiekiem a im więcej będzie dobrych, tym pewniej wszystkim będzie dobrze. Szczególniej też na tę solidarność jednostki z ogółem należy zwracać szczególną baczność i wdrażać ją w pojęcia dzieci. Nie jest ona tak łatwą do zrozumienia jak się zdaje, trzeba więc korzystać z każdej sposobności co ją może podnieść i uwydatnić Znamy bowiem ludzi nawet przejrzałych, usuwających się od wszelkiej pomocy dla drugich z tej zasady, że każdy powinien się tylko starać o to żeby jemu było dobrze, że gdyby ten stan uzyskali wszyscy, toby naturalnie wszystkim było dobrze.

Wszelkie pojęcie solidarności jest im zupełnie obce, co jedynie przypisać należy złemu w tym kierunku wychowaniu. Brak odpowiedniego działania, wrodzonemu samolubstwu człowieka pozwolił wziąść górę i stępił wszelkie poczucie obowiązku względem społeczności.

Szczegółowe rozwinięcie wdrażania w dzieci moralności chrześcijańskiej, przedstawimy w oddzielnych rozdziałach tu daliśmy tylko ogólny obraz co przez nią pojmujemy.

NA KOLĘDĘ.

Dziś — pobożnej już piosenki,
Adwentowej, kolędowej,
I o grozie Pańskiej męki,
I o zbrodni Judaszowej....
Niepoślyszysz w naszych dworach:
Chyba w izbie gdzieś czeladnej,
Lub po siołach, po futorach,
Czasem w nucie brzmi bezładnej.
A z pobożnej pieśni echem,
I pobożność znikła korna.
Religijność, dziś jest grzechem,
Bo bez wiary i pozorna....
A gdy wiara nieuświęca,
Zapał serca niepodźwignie —
Dusza prędko się zbydlęca,
Życie zbrudzi i ostygnie.
Lecz siew Boży — raz miłośnie,
Zarzucony w pierś ludzkości,
Mimo burz i chwastów, wzrośnie—
A choć fałszu głos i złości,
W czasach próby—chmurzy czoła,
Serca rzuca w deszcz zwątpienia—
Łaska Twoja, znów powoła,
Ludzi wiary i natchnienia!
I znów wiara się rozświeci,
W spójni z wiedzą—jasna, czysta—
Bardziej godna Twoich dzieci,
Bo i w czynach promienista.
A gdy czasy błysną owe,
I Królestwo Twe się ziści —
Stworzą święte pieśni nowe,
Nowi wieszcze i psalmiści!
Lecz szanujmy te piosenki,
Co brzmią jeszcze z prostych piersi—
Święte słowa to i dźwięki!
W nich wyznawcy Pańscy pierwsi,
Zachowali swego ducha,
Czci pełnego i ofiary. —
A kto szczerze w nie się wsłucha,
Pojmie całą świętość Wiary!

Jan Prusinowski.

FEJLETONISTA,

PRZEZ

JANA PANAJEWA

Przekład z rosyjskiego.

(Dokończenie).

Wchodząc do teatru zrzuca niedbale palto w kontramarkarni idzie do pierwszych rzędów krzeseł, upatrując znajomych, zbliża się do dyrygującego orkiestrą i przecierając binokle pyta.

— Cóż, zaczynacie?

Zobaczywszy jakiegoś Wydawcę, który zdobył sobie maleńkie stanowisko wydaniem różnych wierszy kilku kalendarzy i rozmaitych pokupnych książek, Fejletonista z postawą pełną osobistej godności, zbliżył się do niego i poklepawszy po ramieniu rzekł:

— Jak się masz, kochanku?

— A! Piotr! Cóż ty masz takie zaspane oczy?

Fejletonista poprawił binokle:

— Nie wyspałem się dzisiaj.

— Posłuchaj no, Piotrze, wiesz...

Wydawca pochylił się do ucha Fejletonisty i zaczął szeptać... Słychać było tylko niektóre oderwane wyrazy: *kupili; wydają; bardzo ją chwalą; repertuar, obiecano mnie, Pszczoła... Inwalid...* Wydawca pogroził po tem palcem Fejletoniście i dodał: Jaki z ciebie nicpoń!

Nastąpiło milczenie.

Wydawca z uwagą zaczął rozpatrywać się w pierwszym rzędzie krzeseł, nagle zwrócił się żywo do Fejletonisty i zawołał:

— Piotrze, patrzno, kto to usadowił się w pierwszym rzędzie.

— Ho! ho! toć to nasz Maksym Piotrowicz.

Maksym Piotrowicz był księgarzem, odznaczającym się sumiennością. Takie przynajmniej zdanie mieli o nim sumienni literaci.

Bohater nasz był z nim w bardzo przyjacielskich stosunkach.

— Maksymie Piotrowiczu! Maksymie Piotrowiczu! zawołał ścicha kiwając ręką...

Księgarz poszedł ku Fejletoniście i Wydawcy którzy serdecznie uścisnęli go za ręce...

— Już to Maksym Piotrowicz posiada talent pięknego ubierania się! zawołał Fejletonista przyglądając się od nóg do głowy księgarzowi.

W tej chwili przysunął się do nich oficer chwalony z posiadania talentu pisarskiego i który rzeczywiście ułożył jakąś krotochwilę.

— Z wielką przyjemnością czytałem wasz artykuł o benefisie Tołczenowa... jak wy umiecie o wszystkiem zajmująco pisać, jak wszystko doskonale jest przedstawione... zdaje się iż wyrazy... niby to...

Mówiący zatrzymał się, widocznie zabrakło mu wyrazów do wysłowienia się...

— Tak, tak, wtrącił księgarz, już to ma on talent, jakie pióro! Doprawdy można się zachwycać.

Fejletonista podrósł słysząc te pochwały.

— Piotrze Semieniczu, mówił dalej księgarz; czy nie pójdziecie po przedstawieniu do restauracyi?..Wypijemy kilka butelek szampańskiego, to nie za szkodzi.

— Z przyjemnością...

Kurtyna podniosła się. W czasie przedstawienia Wydawca i Fejletonista spoglądali na siebie ze znaczeniem.

Po przedstawieniu, wszyscy powyżej opisani panowie poszli na kolacyę, na rachunek księgarza.

Życie Petersburgskie bardzo podobało się naszemu Fejletoniście, szczególniej gdy zajadał obiady na rachunek Wydawcy, a kolacye na rachunek Księgarza. Przy takich obiadach, czasami udało mu się ułożyć kilka strofek, które następnie chwalili i powtarzali jego przyjaciele.

Fejletonista oprócz wodewili, zajmował się także układaniem powieści. W powieściach tych, bohaterkami powiększej części były *idealne, uczuciowe nie zmiernie zamiłowane w poezyi, lekkie, smętne i posępne kobiety.* Bohaterowie byli to młodzieńcy burzliwi dążący gdzieś i do czegoś, z gwałtownemi namiętnościami, gardzący wszystkiem co ziemskie i powszednie *pragnący wznieść się coraz wyżej* a jednak lubiący zapijać wino, do ostatniej kropli. Te idealne dziewice *przykuwają zwykle losy swoje, do losów tych burzliwych młodzieńców* i powieści kończą się tragicznie...

Od pierwszej chwili zamieszkania w Petersburgu, bohater nasz czuł się mocno obrażonym na niektórych autorów, mających za sobą dwudziesto pięcio letnie zasługi, którzy śmieli nazwać go *niedouczonym młodzieńcem.* Postanowił więc przez zemstę opisać ich w jakiej powieści.

W liście do przyjaciela mieszkającego w Moskwie, tak się o nich wyraził.

— Po przyjeździe do Petersburga, na mnie mon cher! powstali N. i F. te upiory literackie i chcieli wyssać ze mnie wszystką krew: ale tak umiałem im odpowiedzieć iż pewno na długo zamkną sobie usta. Niesumienność ich jest oburzającą; ja, dzięki Bogu, należę do tej partyi literatów, która chlubi się szacunkiem wszystkich zacnych ludzi... Wczoraj byłem na zebraniu literackiem u księcia *.

W czasie pisania powyższych słów, wewnętrzny głos mówił mu.

— Zastanów się, kochanku, czy nie błądzisz nazywając panów N. i F. upiorami? Wszak to są ludzie dobrzy, chwaleni przez wszystkich, a przytem zdolni pisarze. Oni powstali przeciw tobie za zdania jakie wygłaszałeś o ich utworach, należąc do partyi przeciwnej. Ale sądź sprawiedliwie, zbliż się do nich a przyjmą cię z otwartemi rękami i między nimi pracując, wyrobisz sobie stanowisko, o którem marzysz. Fejletonista zamyślił się i zapalił fajkę.

— No, gdyby mnie nawet przyjęli z otwartemi rękoma, to czyż mogę wystąpić przeciw samemu sobie? Czyż mogę zadać kłamstwo własnem myślom, zdaniom i uczuciom?

— Ileż już razy powtarzam ci — odpowiedział mu głos wewnętrzny; że w głowie twojej nie ma ani jednego rozsądnego zdania, nie ma myśli, nie masz uczuć, nie masz stałych przekonań a tylko wielkie pretensye do tego wszystkiego! Ty bezustannie masz na ustach sumienność literacką, ale czyż zastanowiłeś się kiedy nad tem wyrazem? Ty i wielu tobie podobnych sprawozdawców nie ledwie codzień zmieniacie swoje zdanie!

Dziś zapłacony przez jednego redaktora lub wydawcę wychwalasz jego pismo lub książkę, chociaż ona nie więcej warta od innych które potępiasz; za kilka dni, w skutek różnych okoliczności gdyż przy słabym charakterze wiecznie będziesz niewolnikiem okoliczności i nieprzewidzianych wypadków, przej-

dziesz do innej partyi literackiej na którą powstawałeś dotychczas, od innego redaktora będziesz pobierał pensyą, a skutkiem tego zaczniesz unosić się nad tymi, na których niedawno rzucałeś kamieniem! Patrząc ich oczami, będziesz nazywał czarnem to, co kilka dni temu białem ci się wydawało i przeciwnie.. Ale cóż cię to obchodzi? Ty nie masz swego zdania, swojej woli, ty musisz śpiewać na cudzą nutę. Gdyby pozbawiono cię tego cudzego zdania i cudzej woli która tobą kieruje, zostałbyś lalką, zerem, automatem...

Fejletonista w skutek tych myśli zerwał się z krzesełka, rzucił fajkę, odgarnął włosy i wzburzony zaczął chodzić po pokoju. Głos wewnętrzny nigdy jeszcze nie przemawiał do niego tak surowo.

— Już nadto tego! zawołał. Nikt jeszcze nie zarzucił mi, iż jestem bezsilnem zerem! Przytłumię ten głos...nie posunę się do tego aby być dezerterem... zostanę przy swojem... przekonaniu moje są niewzruszone... nie dam pokonać się...

Fejletonista nie mógł dokończyć tego monologu z samym sobą, gdyż drzwi otworzyły się z trzaskiem i do pokoju wszedł Wydawca.

Piotrze, co tobie jest? zawołał jesteś jakiś rozdrażniony: układasz tragedyą czy dramat?

— Nie... nie... to... głowa mnie mocno boli...

— A ja przyszedłem do ciebie w interesie. Redaktor gazety *... rozszedł się ze swoim fejletonistą B, przyszedłem więc zaprojektować ci, czy nie zajmiesz jego miejsca. Radzę ci porzuć redakcyę w której obecnie pracujesz, nie wiele ona warta, waszego pisma prawie nikt nie czyta.

Czy wiesz że gazeta *... posiada 4000 prenumeratorów. Mam ja zjej redaktorem różne stosunki, już to tam pod każdym względem daleko lepiej jak u was. Słyszałeś zapewne jakie w naszem kółku bywają zebrania, szczególniej N. i F. świetnie żyją jakie u nich kolacye, jakie wina wyborne. Mówiłem z nim o tobie...

— Dziwna rzecz... rzekł sam do siebie Fejletonista — to samo radził mi przed chwilą głos wewnętrzny!..

— Kto ci co mówił? zapytał faktor dosłyszawszy słów kilka.

— Co? doprawdy nie wiem chciałem powiedzieć... myślałem o czemś.

— No, mniejsza oto, chodzi mi głównie o twoją decyzyę w wiadomej ci sprawie. Gotów jestem wprost od ciebie pojechać do pana F i zawiadomić go, że gotów jesteś przejść do nas.

Namyśl się Piotrze, chciałbym dziś skończyć ten interes to byśmy jeszcze zalali go szampanem!

Fejletonista nie wiedział jak sobie postąpić, stał milczący i bawił się binoklami.

— No, Piotrze, nie traćmy czasu!

— Ale... bo to, mój kochany, nie wiem czem wytłomaczyć się przed *... muszę się z nim rozmówić!

— A to na co; dajże pokój, nie myśl o nim, jak przejdziesz do nas to się dowie, że już dla niego nie będziesz pracował.

Tylko nie nudź mój Piotrze!

— Ja mógłbym i teraz pisać dla was artykuły... co się zaś tyczy stanowczej ugody, to...

Fejletonista zawahał się chwilkę, widząc jednak że Wydawca wyciąga ku niemu rękę do zgody, zawołał, przystaję zresztą.

Tylko pierwszy krok jest trudny. Bohater nasz przeniosłszy się do redakcyi pisma, na które niedawno powstawał i zaprzyjaźniwszy się z literatem, którego parę dni temu nazywał upiorem, bardzo był z tego zadowolony. Razem chodzili na wieczory literackie i na kolacye, w rozmowach z nowemi znajomymi, piorunował na partyę do której sam tak niedawno należał i niby ubolewał nad poprzedniem swojem zaślepieniem!

Przekonawszy się, iż nic nie stracił na przerzuceniu się z jednej partyi do drugiej, że nawet interesa pieniężne lepiej mu teraz idą, Fejletonista zaczął przemyśliwać nad tem, czy gdzie nie wynajdzie sobie jeszcze korzystniejszego miejsca. Chodziło mu głównie o posiadanie coraz większego dochodu.

Stopniowo więc tracił poczucie honoru i godność osobistą, ostatnie uczucia, odróżniające człowieka od zwierzęcia. Gotów odważyć się na wszystko, najniesłuszniej skrytykował jednego zasłużonego pisarza, dla tego tylko iż redaktor był na niego obrażony. Zarzucił brak wykształcenia innemu literatowi dla tego, że nie chciał należeć do wydawnictwa z którego chciał ciągnąć korzyści. Za jedno przyjęcie w cukierni, wypisał w gazecie pochwałę dla cukiernika, za pudełko dobrych cygar, pochwalił dystrybucyę; za przysłany kosz owoców, unosił się w zachwytach nad owocarnią.

Z czasem zaczęło opanowywać go najokropniejsze lenistwo i niedbalstwo: wychodził z domu nieuczesany i nieumyty; w mieszkaniu brudno i pełno śmieci, ramy na obrazach i portretach sławnych ludzi, oblepione kurzem, szkła potłuczone; na ścianach pajęczyna, meble tak grubo pokryte warstwą pyłu, iż trudno odgadnąć, jakie na nich było pokrycie: na stole puste butelki i brudne kieliszki, pod stołem podarty papier karty, popiół z fajek i cygar.

Fejletonista przyjmuje swoich przyjaciół, ale jakże jest zmieniony.

— Piotrze, woła na niego aktor, rozsiadłszy się na obdartej kanapie: czy nie masz w domu wina? Poczęstuj nas...

Fejletonista postawił butelkę na stole, ale ręce jakoś mu drżały i wino rozlewało się koło kieliszków. Wydawca, Oficer i Aktor śmieją się i żartują z niego.

— Piotrusiu! zawołał wśród śmiechu Oficer; jeżeli kiedy będę pisał wodewil, to muszę ciebie w nim zamieścić, wyborny jesteś dzisiaj! Cóż to nie możesz utrzymać się na nogach.

— Warto będzie do tego wodewilu dodać... ryciny! dorzucił aktor.

Piotr chciał coś odpowiedzieć ale wejście korektora przynoszącego arkusze do poprawy, przerwało rozmowę. Fejletonista zataczając się postąpił naprzeciw niego z kieliszkiem wina i zawołał, rzuć, braciszku te głupstwa:.. rzuć wszystko a weź się do kieliszka... wino dobre... myśmy wszyscy przyjaciele... ja kocham was serdecznie...

Takie bananalye pochłaniały dochody, których przy wzmagającem się lenistwie, nieszczęśliwy nasz bohater coraz mniej posiadał. W gazecie coraz rzadziej pojawiały się jego artykuły, korekty czytane były z okropnem niedbalstwem, z pozostawianiem niezliczonej ilości błędów. Często można było spotkać na ulicy zataczającego się Fejletonistę z zapuchłemi i wiecznie zaspanemi oczami. Apatya i ociężałość zczasem zamieniły się w jakiś rodzaj idyotyzmu. Redaktor, tak wychwalany przez Fejletonistę, znów zamienił się w chciwego krwi upiora, gdyż zapomniawszy o przeszłych zasługach położonych dla jego pisma, a widząc jego niedbalstwo podziękował za dalszą pracę.

I gdzież teraz obróci się biedny, opuszczony Fejletonista?

Cóż ma począć?... Jego wodewile wygwizdano w teatrze; artykułów nigdzie nie chcą mu przyjąć; meble sprzadano za długi, odzienie zniszczone! Znalazł się w położeniu owej zadziobanej wrony, w bajce Kryłowa.

Ze ściśnionem sercem, nie wiedząc jak sobie radzić zwrócił się do dawnego swego przyjaciela księgarza. Księgarz stojąc dumnie za kantorem i brząkając złotemi brelokami, nie spojrzał nawet na niego i zaledwie raczył odpowiedzieć; jestem bardzo zajęty... proszę przyjść innego dnia, nie mam czasu na rozmowę.

Po dwóch tygodniach, gdy biedny Fejletonista znów zaszedł do księgarni, podano mu dwie broszurki *o najlepszem sposobie wygubienia robactwa domowego i o cudownym eliksirze, po użyciu którego na łysinach wyrastają włosy*. Księgarz radził mu wydawnictwo tych książek, zapewniając iż na ich rozprzedaży zbierze majątek.

— Więc do tego doprowadziła mnie literatura, dla której porzuciłem wszystko!... A gdzież sława o której marzyłem od młodości! Gdzież majątek, który miałem zdobyć przez pracę literacką?... zawołał z rozpaczą i po twarzy jego spłynęły krople zimnego potu. Głos wewnętrzny, który starał się przytłumić, jeszcze raz odezwał się do niego:

— „Jeźli jesteś stworzony karłem, to nie usiłuj daremnie wyrość w olbrzyma.“

Przeszedł rok czasu. Bezczynny Fejletonista błąkał się po ulicach Petersburga w podartym paletocie, u dołu którego wyglądały kawałki brudnej waty.

Raz zaszedł do cukierni, w której niegdyś wydawał pieniądze na przyjęcie swoich przyjaciół. Gdzież oni teraz zniknęli?... Zadumawszy się o zawiedzionych nadziejach, biedak zaczynał już drzemać, gdy nagle otworzono drzwi z hałasem i do cukierni weszli śmiejąc się głośno, dawni jego znajomi.

Byli jak to mówią w różowych humorach.

Zobaczywszy ich biedny Fejletonista pobladł i wychudłą twarz zasłonił arkuszem gazety, nie chcąc być poznanym. Jednak widać przeznaczone mu było przecierpienie i tego upokorzenia.

— Patrzcie no — zawołał z urąganiem Wydawca siadając przy poblizkim stoliku! — toć to, mon cher Piotruś! Do czego on podobny!... No, garcon, podawaj likier!

— Już to ja zawsze mówiłem — powiedział oficer odwracając się plecami do dawnego znajomego, że nie ma najmniejszego pojęcia o autorstwie, i że pozbawiony był wszelkich zdolności niezbędnych dla Fejletonisty... Na to potrzeba oddzielnego talentu, dowcipu, bystrości umysłu, przebiegłości i wielkiego taktu...

— A jakże nędzne były jego wodewile! Niegodne wspomnienia! dodał księgrz wzruszając pogardliwie ramionami.

Były Fejletonista nie miał siły przysłuchiwać się dłużej podobnej rozmowie, podniósł się cichutko i na palcach wyszedł z cukierni.

Od tej chwili znikł bez śladu, nikt z dawnych znajomych nie spotkał go na ulicy.

Iluż to młodych ludzi pragnących bez nauki, bez pracy dojść do sławy literackiej, nieposiadających jednak koniecznej wytrwałości i wykształcenia, marnuje się w podobny sposób, jak opisany powyżej, fejletonista!

Podobnych literatów Gogol przedstawił pod postacią Trapiczkina. Od tego nazwiska otrzymali przydomek *Trapiczkinów*, dotąd im wiernie służący.

KORESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

Ze Lwowa.

Gdzie publicystyka nie sponiewierała dobrowolnie swojego znaczenia zapomnieniem własnych obowiązków i wyzyskiwaniem swojego wpływu na cele uboczne, tam często jeden artykuł wypowiedziany z wielką odwagą cywilną porusza do głębi społeczeństwo zwraca uwagę publiczną na pewien przedmiot i wy-

starczy na usunięcie wkorzenionego błędu albo wykonanie pożądanego projektu. Nasza prasa od kilku lat straciła pretensyę do takiego wpływu, bo odkąd osobiste napaści, tendencyjne przedstawianie rzeczy i cynizm polemiczny tak wszechwładnie w niej się rozgospodarowały, publiczność z niedowierzaniem czyta jej uwagi, przestrogi, skarcenia i rady.

W obec takiego stanu rzeczy jestto wypadek prawdziwie niepospolity, że jeden artykuł mało rozpowszechnionego *Przeglądu polskiego*, wywołał w całej Galicyi niesłychane wrażenie; stał się na chwilę przedmiotem publicznej dyskusyi i sądząc po dotychczasowych skutkach, może z wszelką pewnością liczyć na niemały skutek. Artykuł ten p. t. *Porcye*, napisał znakomity krytyk Stanisław hr. Tarnowski, a przedmiotem jego jest nadużycie, które mimo swojej jaskrawości, mimo upokarzającego dla nas znaczenia, mimo niezbędnych a nader fatalnych skutków dotąd nikomu nie było i nie jest znanem i nigdy jeszcze nie spotkało się nawet z nieśmiałem skarceniem publicznem. Porcyami nazwał p. Tarnowski rodzaj lichwy, jakoby wykonywany niemiłosiernie na naszym biednym ludzie wiejskim nie przez żydów lecz obywateli ziemskich, zamożnych i poważanych. U was w całem państwie zarówno nad Wisłą jak za Uralem lub Kaukazem, lichwa wzbroniona jest prawem, a dopuszczający się jej surowej podlega karze. U nas lichwa nie jest prawem objęta, i najuciążliwsza uważana jest za umowę wzajemną winną być strony spełnioną. Słyszałem że przed kilkunastu laty, władza u was dobrze przetrzebiła lichwiarzy; u nas lichwa prawie codziennie wzrasta w niesłychany sposób i zaczyna coraz śmielej domagać się starcia z niej ochydy, jaką obrzuconą słusznie została. Nie weźmiecie mi przeto za złe, że o tem co nas boli rozpiszę się obszerniej, bo lżej sercu gdy się wygada.

Lichwa zwana *Porcyą* przez p. Tarnowskiego w ten sposób ma się odbywać, że włościanin za lichą zaliczkę otrzymaną w czasie przednowku, musi się zobowiązać do roboty na jeden lub dwa dni tygodniowo, stosownie do wysokości otrzymanej kwoty. Wieśniak nasz nie ma pojęcia zdrowego o ekonomicznem znaczeniu pracy, więc prawie każdy uważa ten rodzaj opłacania długu, za bardzo dogodny dla siebie. Siły fizyczne posiada on na zawołanie, a gotówki nie ma prawie nigdy, więc dla tego obawia się pożyczek, które spłacić ma pieniędzmi, choćby tylko za miernym procentem. Pan Tarnowski obliczył cyframi w sposób przekonywający, że owe porcye dorównają lichwie żydowskiej nawet tam, gdzie praca robotnika małe wynagrodzenie przynosi a przewyższa ją w wielu okolicach, gdzie robotnik znaleść może w każdej chwili zarobek pod korzystniemi warunkami. Po takiem odkryciu szkaradnego wyzyskiwania biednych ludzi, p. St. Tarnowski schłostał niemiłosiernie całą szlachtę wschodniej Galicyi, ale nie wskazał po nazwisku ani jednego winnego. Na ogromne wrażenie, które ten artykuł wywołał złożyły się trzy okoliczności: najpierw sam fakt potworny, że w obywatelstwie ziemskiem znajdować się miało tyle indywiduów niegodnych stanowiska zajmowanego w społeczeństwie; powtóre, stanowisko autora, który chociaż należy do najznakomitszych reprezentantów naszego stronnictwa konserwatywnego, nie wahał się w tej sprawie wyprzedzić naszych radykalnych dziennikarzy, a wreszcie po trzecie, znakomite pióro autora, które najniewdzięczniejszy temat potrafi przedstawić w sposób pochłaniający uwagę czytelnika. Za to wszystko należy się p. Stanisławowi hr. Tarnowskiemu, wyraz najwdzięczniejszego uznania. Spełnił bowiem czyn prawdziwie obywatelski, pełen szlachetnego zaparcia się osobistych względów, pełen odwagi cywilnej w najpiękniejszem tego słowa znaczeniu. Winowajcy stanowią potężną partyę, i już dziś autora nazywają szlacheckim renegatem, ale ostatecznie moralna siła całego wypadku, pokona te przykrości i zapewni autorowi wdzięczność ogółu a jego artykułowi świetne powodzenie i skutek. Społeczeństwo nasze pod nie jednym względem zatarło w sobie szlachetne porywy i zasady ale tak nisko nie upadło jeszcze, ażeby całą siłą moralnej presyi nie zniewoliło szlacheckich lichwiarzy w jak najkrótszym czasie do porzucenia szkaradnych nadużyć. Powtarzam, że tak mówiono w pierwszej chwili po przeczytaniu artykułu, chociaż nie było może nikogo w całej Galicyi, któryby mógł potwierdzić fakta przytoczone przez autora. Nasza prasa skandaliczna drukuje teraz listy z prowincyi nie sprawdzając zazwyczaj ich treści, więc gdyby tylko w jednem miejscu istniały takie porcye, pewnie wielu obywateli winnych i niewinnych stanęłoby pod pręgierzem opinii publicznej. Ale nie tylko że z prowincyi nie potwierdził nikt owych „porcyi,“ przeciwnie ozwało się zewsząd szlachetne oburzenie. Codziennie od dwóch tygodni *Gazeta Lwowska* i *Gazeta Narodowa*, drukują listy obywateli z różnych stron kraju, podpisane przez osoby powszechnie poważane a zaprzeczające stanowczo, jakoby gdziekolwiek wykonywane były haniebne porcye. Liczba tych listów i protestów dochodzi do bajecznej ilości a redakcyom naszym dalej braknie miejsca na ich pomieszczenie. Nie koniec na tem. Dwaj znani obywatele wschodniej Galicyi, udali się do hr. Tarnowskiego z prośbą, ażeby wymienił publicznie nazwiska winnych, albo odwołał hańbę rzuconą na cały stan społeczeństwa. P. Tarnowski odpowiedział w *Czasie*, że cieszą go wszystkie te objawy oburzenia, ale artykułu jeszcze nie odwołuje. Sypią się dalej protesty i zaprzeczenia, listy do hr. Tarnowskiego przybierają ton coraz drażliwszy a nawet już i prasa skandaliczna, dla której taki fakt był nieprzebranem źródłem materyału, odsuwa się od autora Porcyi. Wkrótce nie będzie żadnego zakątka w kraju, skąd nie nadszedłby protest, a wtedy stanie dowód niezbity, że hr. Tarnowski został w dziwny sposób zmistyfikowany i na błędnej informacyi oparł swoje tak ciężkie i bolesne zarzuty. Wtedy odwołanie nie będzie już miało tego znaczenia; jakie mogłoby mieć dzisiaj. Wtedy antagonizm pomiędzy szlachtą we wschodniej i zachodniej części kraju, dziś objawiający się tylko rzadko i z lekka, przybierze cechę drażliwą i może przynieść krajowi skutki niepomyślne. W chwili, gdy piszę te słowa, cała sprawa jest jeszcze w toku. W tym miesiącu musi ona skończyć się stanowczo, więc dalsze uwagi odkładam do następnej korespondencyi.

(d. n).

MAURYTANIE I ARABY.

Szkice z życia wschodniego

PRZEZ

Ludwika Niemojowskiego.

(Ciąg dalszy).

Słuchając tych wschodnich powieści zdumiewać się trzeba nad niezwykłą ruchliwością wyobraźni Arabów. Cudowność wyradzająca się tam z najprostszego wypadku unosi ciągle myśl po za krańce rzeczywistego świata, przybiera działające istoty w jaskrawe barwy fantazyi, tworzy fakta przechodzące możliwością wszystko cokolwiek gorączkowo widziadła wyśnić zdołają. Przytoczenie którego z tych utworów rozpalonej południowem słońcem wyobraźni, byłoby zbyteczne; przelany na zimny papier utraciłby wszystkie właściwe cechy które żywem podtrzymane słowem, potrafiły mu nadać niewypowiedziany urok!

Jakżebym jednak chętnie wypowiedział Wam jedną z nich, z jakąż bym rozkoszą unosił się w eterycznej atmosferze ułudy, goniąc myślą za rojami istot nieujętych wzrokiem, pierzchających przed jasnym promieniem słońca, subtelniejszych od powietrza, niklejszych od dymu, wątlejszych od pajęczyny. Wszystkie żywioły ziemi stają się ich mieszkaniem: wśród mgły porannej miliony nie pochwyconych wzrokiem gnomów wynurza się z wilgoci i krąży długimi szlakami unosząc się w powietrzu i zmieniając co chwila swe kształty. Zaledwie promień wschodzącego słońca ozłoci sinawą chmurę a już trzepoczą one tęczowemi skrzydełkami, które najlżejszy powiew wiatru rozdmucha w krzyżujące się światła promienie; z każdej chmury zarumienionej barwą zachodu wygląda ciekawie tysiące złotych twarzyczek, w każdym płomieniu buchającego zagładą ognia szeleszczą ogniste ich szaty; a gdy opona nocy zakryje swym cieniem przestrzenie, jakże niezliczona ilość tych wątłych, smugłych, drżących postaci, wyradza się z chwilowej walki mroków ze światłem!...

Nie zawsze jednak tylko fantastyczne legendy i cudowne powieści są przedmiotem pogadanek wieczornych, w beduińskim namiocie. Częstokroć świeże czyny wojenne kompanii francuzkiej, owe bohaterskie obrony, owe straszliwe rzezie, owe nagłe podjazdy i niespodziewane attaki, ożywiają jasne i spokojne oczy potomków Izmaela, poruszają serca w szerokich i wytrzymałych na wszelkie trudy piersiach synów pustyni.

Najulubieńszem jednakże tematem po utworach rozbujałej wyobraźni, stają się dla nich rozmaite wypadki i zdarzenia przytrafiające się w spotkaniach z królem zwierząt lwem. Najwięcej też lubią opisywać sposób życia, narowy i zwyczaje tego potężnego i wspaniałego przywłaszczyciela piaszczystych obszarów Afryki.

Nader charakterystycznym szczegółem malującym usposobienie beduinów jest to, że ów lud wspaniały i odważny czci odwagę i wspaniałość nawet w zwierzęciu, gdyż mówiąc o królu pustyń nie nazywa go Asad (lwem) ale Sid (panem).

O bo też to jest pan rzeczywisty, samowładny, despotyczny tych krain podzwrotnikowych. Biada wędrowcowi jeżeli w samotnej wycieczce swojej spotka potężnego władcę pustyni. Znajdzie on nieochybnie śmierć straszną, powolną, połączoną ze wszystkiemi męczarniami oczekiwania, zgrozy i rozpaczy.

Lew posiadający cokolwiek kociej natury niepożera od razu człowieka, ale szuka okropnej igraszki bawiąc się poprzednio ze swoją ofiarą.

Pewien znajomy arab opowiadał mi następujące zdarzenie, jakiego sam był świadkiem.

— Przed trzema laty, mówił, jeden z turystów francuzkich chcąc zwiedzić osady koczujących arabów bardziej na południe posunięte, zapragnął udać się tam pieszo i objawił chęć ażebym mu towarzyszył w tej wycieczce. Pomimo wszelkich przedstawień jakie mu czyniłem nakłaniając do wzięcia eskorty, nie chciał mnie słuchać: ufny w swą odwagę, przytomność umysłu, a nadewszystko pewność strzału, przyjmował ze śmiechem moje uwagi, zapewniając że w czasie długich podróży swych, wdaleko gorszych i niebezpieczniejszych okoliczności wychodził zwycięzko, ażeby mógł teraz obawiać się kilku, jak się wyrażał, mniejszych lub większych kotów, które straszne w opisach, są rzeczywiście nieprzyjaciołmi godnemi pogardy dla człowieka z sercem i energiją.

Niezachwiana jego pewność, uśmiech pogardy malujący się na ustach gdym mu opisywał różne wypadki o jakich dotąd słyszałem, oddziałały bezpośrednio i na mnie. W istocie, pomyślałem w duchu,

wszystkie te niebezpieczeństwa mogą być przesadzonemi: znałem je tylko z opowiadania, a arabowie mają zwyczaj poetyzować doznane wrażenia chcąc obudzić tym większą ciekawość w słuchaczach.

Nie nalegając zatem więcej, udałem się wraz z Francuzem w zamierzonym kierunku.

W owym czasie ogromny lew nubijski przywędrowawszy z południa, stał się postrachem oddalonych od miasta okolic; nie było dnia w któryby nierozeszła się wieść o nagłej śmierci jednego z pasterzy, a stada kóz i wielbłądów płaciły mu codzienny haracz w porywanych ofiarach. Urządzano na niego obławy, polowania, ale to nic nie pomogło; gdy Batrak (patryarcha) tak bowiem to zwierzę dla jego starości i ogromnej budowy powszechnie zwano, zgadł przeważającą siłę, oddalał się na południe, zaledwie zaś znużeni długiem oczekiwaniem myśliwi rozeszli się do swoich namiotów, powracał i rozpoczynał na nowo spustoszenia.

Byliśmy już oddaleni o jakie piętnaście malakat (trzy mile polskie) od Tunis, przestrzeń otaczająca nas do koła była pustą, bezludną; przed nami rysowały się brunatne pokłady gór, na prawo szemrał w pośrodku wyżółkłych liści spalonej gorącym płomieniem słońca trawy, mały strumyk, koło niego czerniły długim rzędem kolczaste krzaki z rodzaju tych jakie zwykle w naszym kraju rosną nad brzegami wody...

Słońce dopiekało coraz mocniej; strudzeni, wycieńczeni nużącą wycieczką, dobywaliśmy ostatnich sił ażeby zdążyć przed południem do jednego z kamiennych marabutów znajdujących się w tej stronie, dla odpoczynku i posiłku, gdy nagle pośrodku ciszy panującej do koła; odezwał się głos jakiś dziwny, nadzwyczajny, przerażający...

Było to coś niepojętego; niby wark burzy oddalonej, niby huk grzmotu, a przecież w tym głosie czuliśmy życie organiczne, zgadywaliśmy jakąś istotę nieznaną, straszną...

Nie jestem z natury bojaźliwym, brzydzę się tchórzostwem, każdemu wrogowi stanę twarzą w twarz, spojrzę oko w oko, a źrenica moja nie zaćmi się przestrachem, ręka nie zadrży trwogą, przecież usłyszawszy ten głos zbladłem, i zimny pot wystąpił na czoło moje.

— Batrak! szepnąłem towarzyszowi wskazując na cierniste krzaki: nasze ocalenie tam!

Wiadomo iż lew nie ściga ofiary swojej wśród cierni, tyle jest nieznośnem dla tej potężnej, pogardzającej wszelkiem niebezpieczeństwem istoty, ukłucie kolców.

— Uciekaj jeśli chcesz, ja zostanę! odrzekł Francuz z pogardą.

Moja miłość własna oburzyła się na podobne słowa—zostałem.

Tym czasem po chwili przestanku potężny głos odezwał się znowu z większą jeszcze mocą jak pierwej, a echo gór odpowiedziało przeciągłym rykiem.

Ścisnęliśmy obadwa broń naszą w swych dłoniach. I przeszło kilka minut oczekiwania strasznego: krótkie te chwile wydały mi się być wiekiem...

W krótce z po za wzgórza, o jakie trzysta kroków przed nami okazała się wspaniała postać króla zwierząt.

Był on niezwykłego wzrostu, płowy, potężna grzywa okalała mu głowę, długim ogonem wił w powietrzu stąpając wolno, poważnie.

— Przypuść go na odległość strzału i daj ognia pierwszy, rzekł Francuz; ja swoje wystrzały zachowam na koniec.

Zamiast odpowiedzić opatrzyłem zapał muszkietu.

Tym czasem lew zbliżył się na sześćdziesiąt kroków, stanął, spojrzał na nas okrągłemi swojemi oczami, i mrucząc zaczął drapać twardemi łapami ziemię.

Uchwyciłem stosowną chwilę, zmierzyłem, padł strzał, a kula świstnęła w przestrzeni.

Widocznie zadrżała mi ręka.

Straszliwy zwierz w kilku susach poskoczył do mnie; prędzej a niżeli to zdołam słowami wyrazić, znalazłem się pośród ciernistych krzaków.

Rozzłoszczony pobiegł za mną, a pokłówszy się o kolce cofnął rycząc przeraźliwie.

Zapomniał widać o moim towarzyszu.

— Panie! zawołałem; póki czas, chroń się w krzaki: za chwilę już będzie późno!

Francuz rozśmiał się tylko pogardliwie.

— Niech przyjdzie! krzyknął odwodząc kurki.

Na głos słów jego, lew który dotąd nie spuszczał ze mnie oczów bijąc ogonem o ziemię i szukając zapewne sposobu dostania się do mego schronienia, obrócił się nagle.

W tejże prawie chwili padły dwa strzały; widocznie jakieś straszne przeznaczenie zawzięło się na Francuza; obydwa strzały były chybne.

Nie mogłem mu żadnej dać pomocy, muszkiet mój wypuściłem z ręki chroniąc się w krzaki; iść po niego byłoby to samo co szukać śmierci nieochybnej a bezkorzystnej.

Blady, drżący, zdrętwiały, musiałem być nieczynnym świadkiem okropnego dramatu odgrywającego się przed mojemi oczami.

Zwierz odgadł zapewne instynktem swoim że stojący przed nim nieprzyjaciel już mu więcej szkodzić nie może, gdyż zamiast rzucić się na niego jednym zapędem, przystąpił wolnym krokiem mrucząc z zadowolenia, i otarł się bokami o jego nogi.

Francuz przerażony obejrzał się do koła, nic... żadnego środka ratunku tylko te krzaki do których przystęp stał się niepodobnym.

Tym czasem lew otarłszy się kilkakrotnie o niego odszedł stąpając owym wolnym, poważnym krokiem, i znikł w wąwozie.

Radość zabłysła na twarzy ofiary: pędem pobiegł ku krzakom.

Pomiędzy krzakami a nim stało już okropne zwierzę.

I ta straszna igraszka kilkakrotnie się powtórzyła, ile razy lew oddalał się tyle razy nieszczęśliwy chciał szukać ocalenia, i zawsze stawała przed nim złowieszcza postać, patrząca okrągłemi swemi oczami w twarz jego, i zdająca się cieszyć cierpieniami swojej ofiary.

Długo to trwało, powiedzieć nie umiem, są w życiu ludzkiem wrażenia w których godziny stają się wiekami, chwile latami, w których czas zdaje się zatrzymywać swój pochód, krew przestaje krążyć w żyłach, myśl drętwieje, a uczucia doprowadzone do szału rozstrojenia umysłowego nikną w chaosie zgrozy, przestrachu i obłąkania.

Podobna chwila była obecnie moim udziałem, cała moja istność skupiła się we wzroku; przerażony, na w pół umarły, nie umiejący zebrać myśli, patrzyłem przecież, bo nie mogłem znaleść w sobie dość siły ażeby odwrócić oczy od okropnego widowiska.

Lew obchodził w koło swoją ofiarę mrucząc i bijąc silnie ogonem o wyschłe łodygi roślin; za każdem okrążeniem zmniejszał stopniowo obwód koła, aż w końcu znalazł się tuż przy nieszczęśliwym.

Wtedy wspiął się na tylne łapy, przednie położył na ramionach cudzoziemca, i szorstkim językiem zaczął lizać twarz jego.

To już było nad siły biedaka; uczuwszy ognisty dech okropnego zwierzęcia zsiniał ze strachu, nogi się pod nim zachwiały, głowa przechyliła, i padł zemdlony na ziemię.

Batrak poruszył kilkakrotnie łapą jego ciało, a widząc iż przerażenie odjęło mu wszelkie czucie, oddalił się wolno do strumyka...

Ugasiwszy pragnienie powrócił do leżącego nieruchomie na ziemi...

. . . .

Myśl się wzdryga na samo wspomnienie tego com widział.

Po upływie kilkunastu minut zostały tylko na piasku ręce i nogi nieszczęśliwego, których te zwierzęta nie mają zwyczaju pożerać.

Przez kilka następnych godzin lew położywszy się opodal krzaków trzymał mnie w obserwacyi, niespuszczając na chwilę z oczów. Sądziłem się już zgubionym, gdy na szczęście przybywający w znacznej liczbie pasterze ocalili mi życie, zmuszając groźnego nieprzyjaciela do cofnięcia się w góry.

Na tych wyrazach zakończył arab swoje opowiadanie, czyli zaś szczegóły podane przez niego były prawdziwemi, czyli też zostały upoetyzowane ową wschodnią fantazyą która wszystkie zdarzenia życia osłania dramatycznemi barwy, zaręczyć nie mogę; w każdym jednak razie daje ono wyobrażenie czem są wieczorne pogadanki w namiotach arabskich, wtedy gdy te koczujące hordy zasiadłszy po całodziennych zajęciach pod cieniem hamaków lub płótna przenośnej swojej siedziby, dzielą się doznanemi wrażeniami.

W kilka dni po mojem przybyciu do Tunis, kiedy zabierałem się do wyjścia w celu zwiedzenia miasta, w otwartych drzwiach pokoju stanęła nieznajóma mi postać.

Był to mały człowieczek w stroju cywilizowanych Turków, to jest w szerokich szarawarach, zapiętej po szyję zwierzchniej sukni, i czerwonym fezie na głowie.

Salem alejkum! rzekł do mnie.

— Alejkum salem, odpowiedziałem.

— Jestem dragomanem; rekomenduję się wam jako znający dokładnie język, zwyczaje i obyczaje tutejszych krajów. Mogę w każdej chwili służyć za przewodnika.

Przybycie dragomana było mi na rękę, bez żadnych więc trudności oddałem swoją osobę w opiekę tego przemysłowca, i po chwili zapuściliśmy się razem w ciasny labirynt tunetańskich uliczek.

Kto nie zna miast wschodnich, nie pojmie nigdy jak smutne wrażenie sprawiają te długie mury bez okien, zasłaniające zewsząd mieszkania utajone w głębi niedostępnych dziedzińców, jak przykry jest widok tych zamków pełnych niechlujstwa, których niebrukowana ziemia staje się niedostępnym błotem w czasie deszczów a nieznośną kurzawą w upały. Cóż dopiero powiedzieć o dalszych dzielnicach owej na wpół dzikiej stolicy? Tam rozwalone mury domów nie zdołają nigdy doczekać się naprawy, a kupy gruzu zalegające ulice, nie znajdą nigdy ręki któraby chciała zająć się ich uprzątnięciem. Pomiędzy temi zwaliskami, od kilku a nawet kilkunastu lat tamującemi drogę publiczną, wiją się bluszcze po ścianach, czernią kępy chwastów, gałęzie drzew, które miały czas podnieść się, rozrosnąć i wyciągnąć szerokie konary na mogiłach niedołęztwa i gnuśności.

Ruch miasta jest bardzo mały, gdyż Tunetańczycy mają zwyczaj przepędzać wolne od zatrudnień chwile w meczetach na modlitwie albo też w kawiarniach na paleniu wonnego tytoniu. Od czasu do czasu tylko przesunie się poważnym i jednostajnym krokiem, milczący wyznawca koranu owinięty w biały burnus, a za nim postępuje mały murzynek z długim cybuchem swego pana w ręku. Czasami kilka obładowanych wielbłądów prowadzonych przez posługaczy sklepowych, dąży do punktu w którym ma się zgromadzać wyruszająca w dalekie strony karawana. Tu i owdzie dziarski oficer marynarki francuzkiej, posępny misyonarz z grubą księgą pod pachą, lub

sztywny z odwieczną białą krawatą na szyi anglik, przemkną się wśród jednego z tysiąca przesmyków nie regularnych tunetańskich ulic, i znowu wszystko wraca do zwykłej swojej spokojności i znieruchomienia.

Wstąpiliśmy do jednej z licznych maurytańskich kawiarni, jedynego miejsca publicznej rozrywki małomównych arabów.

Kto widział błyszczące światłem, gwarem, lśniące złotem i zwierciadłami kawiarnie wielkich stolic Europy, zrozumieć nie może ażeby te ciemne jaskinie pełne dymu i brudów mogły nosić podobne miano.

Kiedy zgiąwszy się wpół wszedłem niskiemi drzwiami do wnętrza tej pieczary i obejrzałem się do koła, w pierwszej chwili nic zupełnie dojrzeć nie mogłem. Gęste kłęby dymu, nie mające nigdzie przeciągu utworzyły sinawą chmurę zapełniającą całą przestrzeń poświęconego próżniactwu przybytku, a wązki z trudnością wciskający się przez malutkie okienko promień światła dziennego, nie zdołał rozproszyć owego pół-cienia, który tam w każdej porze dnia panuje. Po niejakim dopiero czasie, przyzwyczaiwszy stopniowo swój wzrok do ciemności i dymu, zacząłem rozróżniać otaczające mnie przedmioty.

Do koła ściany, na niskich dywanach ze skurczonemi pod sobą nogami siedziało ze dwudziestu maurytanów i arabów jako też ze sześciu turków, paląc w długich cybuchach i narguille turecki tytoń pomieszany na w pół z hatszi. Żaden z nich nie tylko najmniejszem słowem nie przerwał panującego milczenia, ale nawet nie zdawał się zważać na swoich sąsiadów.

— Avez ejje? (czego żądacie) zapytał nas stary maur, gospodarz zakładu.

Po kilku słowach objaśnienia, podano nam dwa kubki czarnej gęstej jak smoła kawy i długie cybuchy.

Spojrzałem raz jeszcze na całe towarzystwo; wszyscy siedzieli do koła jak automaty bez ruchu, zajęcia, ciekawości, ze wzrokiem utkwionym w jakiś niewidzialny punkt.

Zdawało się jakoby każdy z nich zamknięty w sobie niedbał o świat cały.

Nabrawszy przekonania iż zostając dłużej w kawiarni nic bym nowego nie zobaczył, ani też niczego więcej nie dowiedział się, opuściłem z moim dragomanem to miejsce bezwiednej bezczynności.

Tym razem udaliśmy się w najbardziej ożywioną dzielnicę, tam gdzie upadający handel Tunis przedstawia ostatnie swoje wysilenia. Wązkie i kręte jak wszędzie uliczki, zapełnione są sklepami i sklepikami, których brudne i niepozorne wejścia ukrywają nieprzeliczone skarby wszystkich materyi wschodnich, owych cudownych tkanin przerabianych złotem i srebrem, owych kwiatów wyszywanych od ręki a błyszczących tak świetnemi barwy, iż zdaje się jakoby świeżo rozkwitły, a to wszystko nurza się w powietrzu przesiąkłem aromatycznym zapachem dymu wschodniego tytoniu, i rozkoszną wonią esencyi różanej.

Przed każdym sklepikiem stoi poważny maur, z długim cybuchem w ręku. Nie zaczepi on żadnem słowem przechodnia, owszem, zdaje się jakoby niechętnie odrywał się od swych nieczynnych marzeń dla zwrócenia umysłu w drogę praktycznych obowiązków życia. Pragnąc co nabyć, należy odrazu przystać na umówioną cenę, każdy bowiem targ, każde podanie niższej kwoty pieniężnej, uważałby ten surowy wyznawca nauki Mahometa za najcięższą obrazę.

Oprócz tego liczni przekupnie roznoszą po ulicach szale, tyftyki, o jaskrawych kolorach dywany, wyroby złote i inne kosztowności. Tłum ten snuje się, wyprzedza, mija w różnych kierunkach, a pomiędzy tłumem stąpają ciężko obładowane wielbłądy, roznosiciele węgla i wody, przesuwają się kobiety arabskie których postacie całkiem zakfewione białemi zasłonami, czynią je podobnemi widmom umarłych, stąpającemi smutnie na zgliszczach tego na w pół żyjącego miasta. Nie sądźcie bowiem ażeby pomimo większego ruchu jaki w dzielnicach poświęconych handlowi i przemysłowi panuje, słyszeć się tu dawał ów gwar, owe wrzaski będące cechą najmniejszych włoskich miasteczek. Wszystko to stąpa, chodzi, porusza się w milczeniu, dopełnia kupna w trzech słowach, czasem jednem kiwnięciem głowy, jednym gestem, jednem mrugnięciem oczów. Przechodzący patrzy, widzi a nie słyszy! Zdaje mu się że to miasto milczące, ponure, na w pół gruzami zawalone, stało się mieszkaniem nie ludzi, ale automatów bez życia, które nakręcone ręką sztukmistrza poruszają się na mechanicznych sprężynach, ale ani czuć, ani mówić ani też myśleć nie umieją.

Opuściwszy tę część grodu, udaliśmy się lektyką do Bardo. Bardo położone o pół mili za murami Tunis, jest letnią rezydencyą Beja; tam także w pewnych dniach miesiąca odbywają się sądy i wymierzanie sprawiedliwości, który to dzień podług zapewnień dragomana właśnie w tym czasie przypadał.

Droga z Tunis do Bardo w dniach poświęconych sądom, przedstawiała nader oryginalny widok; jest to zbiór ludzi, koni, lektyk, osłów, wielbłądów mijających się w dwóch przeciwnych sobie kierunkach, a wszystko to grzęźnie w morzu błota wśród pory deszczowej, lub niknie w chmurach kurzu w czasie upałów. Ponieważ kwietniowe słońce dopiekało już wtedy całą potęgą palących swoich promieni, ostatnia z dwóch wymienionych wyżej niedogodności dokuczała mi niemiłosiernie w czasie przedsięwziętej wycieczki. Ogromne tumany pyłu poruszone nogami pieszych i kopytami koni, ciągnęły się długim szlakiem po okolicznych polach, a z tej popielatej chmury wyglądały tu i owdzie czerwone fezy, postępowych muzułmanów, białe burnusy beduinów, czarne turbany izraelitów. Niektorzy z udających się po sprawiedliwość brzękali piastrami w kieszeni, pewni, że na tak silne argumenta poważna nawet Temis uchyli łaskawie swą głowę; inni mniej uposażeni od fortuny, szli z posępną twarzą przeczuwając że w razie przegranej, szerokość ich pleców odpowie za cienkość sakiewki lub trzosa. Czasami przemknął się na wspaniałym arabskim rumaku, jeden z sędziów w świetnem o jaskrawych barwach ubraniu, czasem znów kilku czarnych eunuchów, ekskortowało na mułach szczelnie zamkniętą lektykę, wśród której utajona piękność, spoczywała na miękkich wezgłowiach i aksamitnych poduszkach, z kilkoma parami pistoletów za pasem: był to szeik jednego z pokoleń zamieszkujących pustynie, który udawał się po rozkazy do Beja.

Słowem widok przedstawiający się mojem oczom, w czasie tej krótkiej wycieczki miał swoją wschodnią, zupełnie odrębną cechę lecz nader zajmującą i ciekawą. (d. n.)

LIST TRZECI

Z NOWEGO YORKU DO CHICAGO,

w Ameryce północnéj

przez

SYGURDA WIŚNIOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Tu nasuwa mi się uwaga o pieniądzach amerykańskich.

Jak w wielu europejskich państwach tak i tu nie ujrzysz monety brzęczącej. Banknoty urzędowe i prywatne zajmują ich miejsce.

Banknoty urzędowe, oparte na kredycie państwa i puszczane w obieg w miarę, zawsze były i będą dobremi pieniędzmi, lecz ograniczona prawem ich liczba nie wystarcza dla narodu tak handlowego i rzutnego jak Amerykanie. Ztąd tyle świstków bankowych w obiegu nie opartych na zapasie srebra i złota leżącego w piwnicach, lecz na obligacyach długu państwa i akcyi kolei żelaznych złożonych w rządowej kasie w Cleaning house.

W czasach popłochu, gdy nikt nie chce dać banknotów rządowych za najlepsze akcye, bankrutują zakłady bankowe nie w skutek braku kapitału, lecz iż kapitał ich tak zamknięty w wartościach trudnych do sprzedania, że nie mogą otrzymać za nie gotówki do spłacenia wierzycieli. Ztąd fabrykanci i kupcy nie mogący otrzymać z banków swych depozytów zamykają fabryki i sklepy, ludność żyjąca z zarobku przy zakładach tych cierpi nędzę najokropniejszą.

W przeciągu roku, w skutek żniw dobrych, powrotu zaufania i innych okoliczności, gotówka zjawia się z ukrycia, warsztaty zatętnią życiem, dobrobyt ogólny panuje pomiędzy ludem i wszyscy zapominają o nędzy zeszłorocznej. Znów papierowe świstki i czeki i rozkazy płatnicze bywają przyjmowane bez wahania się, dopiero przy następnym popłochu poznają ich właściciele że co nazywali pieniędzmi jest tylko kawałkiem bibuły.

Jak długo więc system bankowy panujący dotychczas w Ameryce nie podpadnie zmianie, zawsze musimy czytać w dziennikach o popłochach, epokach biedy ogólnej w tym kraju. Niech raz brzęczący dolar się zjawi zamiast greenbacka (banknota), lub bank urządzony na sposób naszych, posiądzie wyłączny przywilej bicia banknotów, zabezpieczonych w znacznej części na gotówce, ustaną i popłochy i trudniej przyjdzie nieuczciwym spekulantom wyzyskiwać łatwowierność publiczności tak oswojonej z papierami, iż bylebyś dał człowiekowi kawałek zielonego papieru ze stęplem, myśli iż ma greenbacka.

Najpierw jednak wypadałoby znieść owe obrzydliwie brudne, pomięte i podarte papierki służące tu zamiast zdawkowej monety. Oprócz z niklu wybitych centówek i pięciu centówek, nie ujrzysz w Ameryce nic oprócz bibułek na 10, 15, 25 i 50 centów. Bóg wie ile pomiędzy niemi fałszywych, zgnieć je dobrze, zbrudź zasmolonemi rękami, a już wyglądają jak prawne rządowe greenbacki.

Ileż to oszustwa i strat wynika z tej niedbałości!

Co za kłopot gdy przy każdem odbieraniu reszty z dolara, musisz patrzeć na papierki zupełnie podobne do siebie, i wyszukiwać cyfry oznaczających ich wartość i uważać czy też nie bierzesz fałszywego banknotu, jaki mnie właśnie wcisnął chłopak czyszczący buty na ulicy, zdając mi resztę z dolara.

Pan *help* (pomocnik) amerykański nie zniży się do wzięcia czernidła i szczotki do rąk. Rano znajdziesz buty twe zostawione wieczorem w przedsionku równie zbłocone jak były wczoraj. Wdziewasz je jednak i wychodzisz na ulicę.

Wnet zjawia się obdarty urwis i poczyna biedz za tobą krzycząc *shine?* (połysk). Słowo to techniczne zastępuje zapytanie czy chcesz by ci buty wyczyszczono?

Wiedząc iż ta przyjemność kosztuje 10 centów odpędzasz natręta. On uparcie trzyma się ciebie i krzyczy *shine!* coraz głośniej. Przechodnie zaczynają patrzeć na ciebie, a oczy całej gawiedzi ulicznej spoczywają na twych butach.

Zawstydzony skinąłeś na chłopaka, wnet kilkoma potarciami szczotki nadał połysk butom. Dajesz mu dolara, otrzymujesz 90 centów reszty i idziesz za interesami.

Po chwili wchodzisz do sklepu u którego drzwi stoi drewniana figura przedstawiająca czerwono-skórego Indyanina w naturalnej postawie. Setki takich posągów ozdabia chodniki miast amerykańskich, nadając im dziwny pozór dla europejskiego oka. Figury te oznaczają iż w sklepach za niemi sprzedają tytoń i cygara.

Chcesz kupić kilka cygar dobrych. Dają i prawdziwe hawanna niby, lecz żądają pół dolara.

Ty, co zawsze słyszałeś iż Ameryka jest krajem tanich i dobrych cygar dowiadujesz s'ę zaraz iż za prawdziwą hawannę musisz zapłacić dwa franki a za tutejsze cygaro z Kubańskiego liścia franka.

Jeżeliś oszczędny lub mało masz pieniędzy nie weźmiesz tak zbytkownego cygara, lecz inne za 5 centów. Wziąłeś 10 i dajesz za nie pół dolara przyjętego od chłopczyka. — Kupiec nie chce go przyjąć bo fałszywy, z westchnieniem dobywasz sakiewkę i dawszy dobre pieniądze kupcowi zapalasz jedno z cygar.

Nie chce się tlić... Zapalasz drugie, obrzydliwe.

Za 50 centów zakupiłeś cygar których palić niemożesz.

O wy szczęśliwi śmiertelnicy zbijający bruki warszawskie z papierosem Laferma, w ustach, których woń godna nozdrza bożków! Czy pojmujecie niedolę wędrowca polskiego, zmuszonego do płacenia po ćwierć franka za śmierdzące cygara, na ziemi uchodzące za ojczyznę tytoniu.

Na tę apostrofę odpowiecie pewno „czemu i Waść nie kręcisz cygaretów w Ameryce."

Bo nie ma tu tytoniu dobrego moi panowie, chyba za opłaceniem bajecznej ceny. Za pół funta (funt amerykański o wiele mniejszy od naszego), dobrego tytoniu *Virginia* zapłaciłem w Nowym Yorku półtora dolara. W Chicago nie mogłem znaleść podobnego tytoniu, a tak zwane *Kentuchy*, *Maryland* i t. d. krajane tytonie wyglądają jak wysuszona i pocięta kapusta i nie mają smaku.

Starcy prawią iż kiedyś, przed wojną z Południowcami, zanim istniał podatek tytoniowy w Ameryce, bywały tu cygara i tytonie wonne jak myrha. Dziś jednak tylko pieśni wajdelotów o nich wspominają. Podróżni amerykańscy twierdzą że gdzieś tam daleko na południu, po za wodami Missisipi, w Texas, we Floridzie, w Louisianie jeszcze i dziś się znajdują te dary Boże. Tu ich nie ma jednak, a może i tam istnieją tylko w wyobraźni podróżnych.

O błogie południe, gdzie słońce nie wygląda jak mosiężny rondel a księżyc jak ser zielonawy, gdzie niebo błękitne a tytoń nie cuchnie, kiedyż znów wydrę się z tej dzikiej północy w twe objęcia! Jakież licho przywiodło mnie do kraju gdzie funt dobrego tytoniu kosztuje 3 dolary, książeczka papierków do cygaretów 10 centów, pudełeczko opodatkowanych i cuchnących siarką zapałek 5 centów? Czemuż nie zostałem w Wiedniu gdzie choć tytoń lichy to zapałki tanie?

Wspomniałem już iż miałem listy do kilku znajomych w Chicago. By ich odszukać musiałem się udać do dzielnicy na końcu Milwankee Avenue.

Mieszka tam, najczęściej we własnych domach, jakie 5000 Poznańczyków, Kaszubów i Szlązaków. Mają swoją szkołę, dwa kościoły, dziesięć szynków i zakładają gazetę.

Chcąc się wypytać o adres proboszcza wszedłem w podwórze jednego z domków, w których wedle zdania policyanta stojącego na rogu ulicy, mieszkała rodzina polska. U drzwi szopy, z której dolatywał mnie wrzask dziatwy, stała świnka na długich nogach, z długim ryjkiem i ozdobiona obfitą szczeciną. Takich zwierząt ani Anglicy, ani Amerykanie, ani Niemcy nawet nie hodują, pewno więc należy do jakiego Poznańczyka. Kto wie czy nie przywiózł jej z Bydgoszczy jako ciekawość. Tę świnkę charciego kształtu możnaby tu za pieniądze pokazywać, jako dowód jak szlachetne rassy nierogacizny hodują Poznańczycy.

Otóż świnka ta stała na straży przy drzwiach szopy i wzbraniała mi wstępu do niej. Pomimo iż byłem uzbrojony w parasol, nie chciała ustąpić z pola a nawet patrzyła na mnie okiem drapieżnego zwierzęcia. Dopiero gdy kropnąłem ją parasolem po grzbiecie uciekła kwicząc.

Wnet wybiegło kilkoro białowłosej dziatwy z szopy i narzekając iż ktoś świnkę ich ukochaną uderzył, poczęło pocieszać pieszczocha całej rodziny gładząc go i skrobiąc po grzbiecie.

Za niemi wyszła i matka, hoża kobiecina i rozmowna. Na zapytanie o proboszcza nie mogła odpowiedzieć, wprowadziła mnie więc do domku, stojącego pomiędzy szopą a ulicą, bym pomówił z mężem.

Dom to był nie wielki o trzech izbach, w których nie panował wcale ład amerykański. Gospodarz, chłop silny i odziany porządnie, siedział przy żelaznym piecyku paląc fajkę. Piecyk ten stał wedle amerykańskiego zwyczaju w środku izby i miał dokoła ogniska, okienka ze szkła grubego. W ten sposób można siedząc przy nim i ogrzewać się i patrzeć na niebieskie i wiecznie zmienne płomyki wymykające się z rozżarzonych węgli.

Gospodarz, dowiedziawszy się iż przybywa świeżo z Europy przyjął mnie nader serdecznie, zapytał co słychać w starym kraju, czy prawda iż cholera i głód go trapią i co zamyślam robić w Chicago. Dowiedziawszy się iż jestem tylko podróżnym zbierającym wrażenia, zadziwił się mocno by ludzie tak daleko po tak błahą rzecz jak wrażenia przyjeżdżali.

W tejże chwili wszedł sam proboszcz do pokoju po kweście na ubranie ołtarza w nowym Kościołku. Okazał nam spis przeszło stu osób które podpisały od pół do dwóch dolarów.

Właściciel domu i ja przyczyniliśmy się chętnie do składki, Poznańczyk skrobał się w prawdzie trochę w głowę, uskarzając się na brak pieniędzy i mówiąc iż już od trzech tygodni próżnuje.

Z czegóż pan żyje? zapytałem,

— Pracowałem przy hamerni żelaza za $2^{1}/_{2}$ dolara dziennie, lecz od czasu gdy banki poszły w poniewierkę, wydalono połowę ludzi z naszej fabryki, mianowicie Duczmanów (Niemców).

— Wszak pan nie niemiec.

— Tać to Amerykanie i Airisze (Irish, Irlandczyk) wszystkich nas nazywają Duczmanami, gdy nie umieją po angielsku.

— Pan nie umiesz więc po angielsku?

— Rozumiem trochę lecz nie umiem mówić.

— Jakże pan długo w Ameryce?

— Lat 8 przeszło.

Tu wtrącił się proboszcz do naszej rozmowy by go zląjać iż jeszcze po angielsku nie mówi.

— Wy zawsze pchacie się pomiędzy niemców, wasza więc wina gdy nie umiecie po angielsku i skoro tylko rąk nadto w fabryce odprawiają was, jak wszystkich nierozumiejących formana (dozorcy). Gdybyście nie z niemcami przesiadywali w piwiarniach, lecz żyli z amerykanami, dawnobyście mówili tak dobrze po amerykańsku jak i ja.

— Czy pan zawsze byłeś w hamerni od czasu przyjazdu do Ameryki?

— Panie, ja już tu próbowałem sto rzeczy. Najpierw przybyłem tu sam z Prus i pracowałem w Nowym Yorku za półtora dolara na dzień. Byłem raz u szewca, chodząc z trzepaczką po dużym sklepie i otrzepując pył z butów wiszących na sprzedaż. Później dostałem miejsce w fabryce cukru, gdzie po kilku miesiącach tak się podobałem formanom iż mi dawali 75 dolarów na miesiąc i *4 razy na dzień po szklance piwa*. Człowiek oszczędził coś pieniędzy i sprowadził ze starego kraju swoją dziewczynę, ożenił się i poszedł do stanu Wisconsin na kawał gruntu. I to jakoś nieźle szło aż póki nie zgnęciła mnie pokusa, by po spaleniu się Chicago tu przyjechać.

— Cóż zrobiliście z farmą.

— Tać człowiek czynsz od niej bierze.

— Jak się wam wiodło w Chicago?

— Póki budowali domy zarabiał człowiek 15 dolarów na tydzień donosząc wapno i cegły mularzom. Z uszparowanych (sic) pieniędzy kupił *lot* (kawał gruntu na zabudowanie) a powoli postawił dom i szopę za domem. Kosztowało to człowieka jakie 1000 dolarów, musiałem więc pożyczyć pieniędzy dużo a teraz nie ma zarobku by spłacić pożyczkę.

— Od kogo pożyczyliście pieniądze?

— Mieszka u mnie na *burdzie* (board, wikt) Szlązak co buty robi w fabryce. On sobie uszparował kilkaset dolarów i mnie je pożyczył.

(d. n).

Przegląd teatralny.

„Nieobecny." — Dramat w 1-m akcie E. Manuela, przełożony wierszem, przez Sewerynę Duchińską.

Tytuł dramaciku Manuela przedstawionego w ubiegłym tygodniu na scenie Rozmaitości, przywodzi nam na pamięć dwa sprzeczne z sobą przysłowia, że „nieobecni nigdy nie mają słuszności" i że „o nieobecnych źle mówić nie należy". Osnowa utworu francuzkiego poety usprawiedliwia tylko pierwszą z tych maksym, gdyż o tytularnym bochaterze sztuki, mówi się wiele a mówi źle. Bohaterem tym jest syn niejakich państwa Jumelin, który z obawy przed słusznym zresztą gniewem ojca uszedł z rodzicielskiego domu i zginął gdzieś na szerokim świecie. Ojciec przeklął nieobecnego w chwili uniesienia i odtąd gorycz samotności potęguje jeszcze w duszy zakamieniałego starca gniew przeciwko synowi, który ośmielił się stawić opór jego woli. Matka tymczasem tonie w łzach i tęsknocie; serce jej umiejące tylko przebaczać i kochać obwinia męża o despotyzm i srogość. I oto nad tem szczęśliwem niegdyś stadłem zawisła głucha noc rozpaczy podsycanej niechęcią wzajemną. Niechęć ta długo tłumiona wybucha nareszcie w rocznicę złowrogiego dnia ucieczki i ojcowskiego przekleństwa. Zranione uczucie matki przybiera formę gorzkich wymówek. Jumelina jednak nic wzruszyć nie zdoła; należy on do rzędu tych charakterów surowych, zawziętych i dzikich, w których gniew i nienawiść hartują się tylko przez czas i dosięgają żelaznej trwałości. Macierzyńskie łzy i żale jątrzą tylko niezabliźnioną ranę ojcowskiego serca. Nagle do drzwi tego domu klątwy i cierpienia kołacze kobieta w żałobie z pięcioletnim synkiem. To wdowa po nieszczęsnym który umarł w tułaczce. Przychodzi wyprosić przebaczenie dla nieżyjącego i błogosławieństwo dla niewinnego dziecięcia. Jumelin jeszcze się opiera; odtrąca wdowę, nie chce wiedzieć o istotach które podzielały los przeklętego, były jego szczęściem i kochaniem. Rozbraja go dopiero widok małego Andrzeja, którego twarzyczka jest żywem przypomnieniem ojca z tych chwil szczęśliwych, kiedy na główkę jego niewinną spływała tylko miłość starca i wszystkie jego nadzieje. Jumelin wybucha płaczem, tuli wnuka do piersi i odtąd nad tem ogniskiem rodzinnem cichy anioł pokoju roztoczył swe skrzydła białe.

Ostatnia sytuacya jest wzruszającą, ale całe jej przygotowanie nuży tylko widza, nie pozwalając mu odetchnąć pełnią dramatycznych wrażeń. Niewyraźne wspomnienia przeszłości unoszą się jak mgła

nad utworem i nie mają dość siły plastycznej, aby węzłami trwalszego zajęcia zjednoczyć słuchaczów z działającemi na scenie postaciami. Bohater sztuki jest wistocie nieobecnym, nie znamy dziejów jego burzliwej młodości, nie odczuwamy kollizyi dramatycznej która niegdyś wytrąciła go z progów rodzinnych. Ztąd to upór i surowość Jumelina niezrozumiałemi są dla widzów, wynikają raczej z kaprysu niż z zasady moralnej i wydają się umyślnie postawionemi przez autora dla wywołania poetycznego kontrastu w scenie ostatniej. Ciche łzy matki, rzewne opowiadanie wdowy i dobroduszne rady poczciwego doktora, nie są w stanie zastąpić braku akcyi dramatycznej, tego koniecznego przymiotu każdego dzieła scenicznego.

W porównaniu z Robotnikami znanym u nas także w przekładzie p. Duchińskiej dramacie Manuela obrazek ten o wiele mniejszą przedstawia wartość. Tam działanie dramatyczne także cofniętem zostało w przeszłość odległą, ale sztukę całą przenikają jego odblaski zlewające się w prześliczną grę świateł i cieni. Tutaj poeta dał się porwać deklamacyjności i sentymentalizmowi, które aż do ostatniej sceny tłumią wszelkie wybitniejsze drgnienia uczuć i myśli, powlekając wszystko mglistą jakąś powłoką. Zbawia jednak ten obrazek nastrój prawdziwie poetyczny uwydatniający się w wierszu harmonijnym i malowniczym, zbawia go słoneczna idea rozwiązania, cześć dla uczuć rodzinnych, apoteoza miłości i przebaczenia, słodycz tej niewinności dziecięcej, której urok najciemniejsze nawet dusze zdolny jest napełnić światłem Bożych promieni.

W przekładzie pani Duchińskiej uwierciedliły się wszystkie piękności oryginału. Słuchacze podziwiać tylko mogli bogactwo i siłę wyrażeń, swobodę i potoczystość wiersza.

Z artystów, którym powierzonem zastało otworzenie tego obrazka, Królikowski (Jumelija) znakomicie odegrał scenę kulminacyjną, w której na widok dziecka topnieje ciężkim żalem i nienawiścią zmrożone serce starca. Trzeba było widzieć ten moment pełen artystycznego skupienia, tę walkę rysującą się w gwałtownej grze muskułów twarzy, te oczy dotąd ponure, nagle niby anielskim opromienione blaskiem, wreszcie ten gest porywający uczuciem i prostotą, gdy wnuka w rozwarte porywa ramiona. Pani Niewiarowska (matka) w łzach i radości wielką rozwinęła godność, pani Borkowska umiała budzić współczucie dla swej szaty żałobnej, p. Rapacki małą rolkę doktora natchnął serdeczną dobrodusznością, a mała Albertynka jako Andrzej, zdobyła gorące oklaski widzów za ową dykcyę pełną wdzięku i dziecinnej szczeroty.

Kazimierz Łuniewski.

Od Redakcyi.

Z kończącym się rokiem bieżącym, podajemy do wiadomości, że Tygodnik Mód i Powieści w roku przyszłym 1875, wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami, tylko z więcej rozwiniętym programem co do pracy społecznej, z systematycznem przeprowadzeniem zasad i warunków w jakich się winna rozwijać, aby przyniosła spodziewane owoce.

Obszerniejsze objaśnienie udzieli prospekt który wkrótce dołączymy, że zaś uporządkowanie ekspedycyi na rok przyszły wymaga wiele czasu i zachodu w przygotowaniu adresów, od czego znów spieszne wysyłanie pierwszych numerów Tygodnika zależy, upraszamy przeto o wczesne nadsyłanie *wprost do Redakcyi* należytości prenumeracyjnej, gdyż tylko tym jedynie sposobem usunąć można zawód i różne nieporozumienia, jakie zwykle przy pośrednictwie drugich wydarzają się. Prosimy przytem aby o ile można prenumerata przysełaną była przynajmniej półroczna, gdyż według przepisów obowiązujących, należytość za przesyłkę pocztową wnoszoną być musi z góry także półrocznie, nie prenumerujący więc w drugim kwartale, naraża Redakcyą na niepowrotną dość znaczną stratę.

Prenumerata wynosi:

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80**

na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie	. . . .	**rs. 2 kop. 50**
Półrocznie	. . . .	**rs. 5 — —**
Rocznie	. . . . .	**rs. 10.**

Polecamy przytem Rodzicom, Nauczycielkom i Nauczycielom:

„Przyjaciela Dzieci."

Pismo tygodniowe illustrowane, którego wpływ zbawienny uznany powszechnie na młodych jego czytelników, z każdym rokiem powiększa liczbę jego prenumeratorów. Jest on jedynem u nas pismem tego rodzaju, które bawiąc uczy i wdraża zasady poczciwe zarówno w małe dzieci rozpoczynające naukę czytania, jak i stale uczące się czy to w domu czy w publicznych naukowych zakładach. Przytem cena prenumeracyjna jego jest tak małą, że tylko bardzo ubogie rodziny nie mogłyby się zdobyć na jego zaprenumerowanie.

Co do wpływu zbawiennego pod względem moralnym na młode pokolenie, mamy na to dowody w licznych listach Rodziców dziękujących za poprawę dziatek swych, skutkiem jedynie czytania *Przyjaciela Dzieci.* Do nich więc odwołujemy się: w wielkiem zadaniu społecznej pracy, dobre wychowanie podrastającego pokolenia, jest najważniejszem zadaniem i podwaliną pomyślności społecznej w przyszłości. Teorye bowiem najchwalebniejsze nie wejdą w życie ogółu, jeżeli braknie ludzi do ich wykonania, wszystko zatem co tylko do ich przysposabiania posługuje, chętnie podejmowane być winno *Przyjaciel Dzieci*, jest jednym z tych środków niezmiernie skutecznych, gdyż bawiąc, uczy, poprawia i wdraża wszystko to, co Rodzice pragną, aby stało się skarbem serca i duszy ich dziatek.

Prenumerata wynosi:

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie	. . . . .	**rs. 1.**
Półrocznie	. . . . .	**rs. 2.**
Rocznie	. . . . . .	**rs. 4.**

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści, i Przyjaciela dzieci, w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk E. Skiwskiego, w Warszawie, Elektoralna Nr 758 (28 nowy). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca **J. K. Gregorowicz.**

Dodatek.

O UBIORACH.

Obok zbytku, z powodu wielkiej ilości potrzebnego na suknie materyjału, moda ma jednak dziś jedną praktyczną stronę, a tą jest, ścisłe oznaczenie użytku sukien kostiumowych zaledwo dochodzących ziemi, trochę powłóczystych i z długiemi trenami. Suknie kostiumowe robi się z mniej kosztownych materyjałów i używa dla młodych osób, a zwłaszcza dla panien, jako ubranie najpraktyczniejsze domowe, spacerowe i do podróży; dla osób starszych, chcących ubierać się modnie, służą tylko do wyjścia za sprawunkami lub t. p., do domowego negliżowego ubrania i do podróży. Suknie trochę powłóczyste, dające się z łatwością podpiąć, lub unieść w ręku, używane są na koncerta, do teatru do ubrania wizytowego i na mniejsze wieczorne zebrania; a dla osób starszych albo poważniejszych do ubrania, spacerowego i domowego. Suknie z trenami przeznaczone są tylko do bardzo strojnego ubrania jak n. p. proszone obiady, śluby i proszone wieczory i bale. Dla mężatek na takie suknie służą wszelkie materyje kosztowne, przybrane koronkami, piórami, lub kosztowną pasmanteryją. Dla panien i w ogóle dla młodych osób do tanca, ciągle najwłaściwszym materyjałem są tiule i tarlatany białe i kolorowe, zarówno we wszelkich odcieniach bladych jak i w kolorach żywych i mocnych, z przybraniem z kwiatów, wstążek i piór.

Czesanie głowy także inne jest pod kapelusz, a inne do domowego ubrania, albo znów na wieczory i bale. Na bale upięcia są tak kunsztowne, iż wymagają fryzierskiej pomocy, już do samego umiejętnego upięcia piór i kwiatów lub pereł czy wstążek. Do ubrania domowego lub mniejszego wieczorowego, zarówno używane są długie loki lub długo spuszczone warkocze, jak i warkocz w koronę upięty nad czołem z dodaniem trochę loków z tyłu głowy. Na ulicę układ włosów zastosowany być musi do formy kapelusza. Przy takim układzie włosów sute krezy coraz mniej są używane, zachowują się tylko krezki skromniejsze z koronki lub tiulu jedwabnego; natomiast odzyskują wzięcie kołnierzyki webowe ozdobione haftem, koronką, albo haftowanem na batyście plisowaniem. Chusteczki białe i kolorowe także ustępują czarnym koronkowym lub naszywanym dżetem, które służą nawet do sukien pod szyję.

Na suknie zimowe spacerowe, wizytowe i domowe bardzo poszukiwane są wszelkie grube a nawet włochate materyjały, które zdawały by się właściwsze na ubrania myśliwskie dla panów; dzięki jednak swym szumno brzmiącem nazwom, jak: Ashanty, Himalaya, Chewyot, Knikerboker, Limousine, Matelassé i t. p. bardzo używane są na kostiumy i na vêtement nawet do spódnic jedwabnych lub aksamitnych. Zwykle do takiego vêtement rękawy dają się z materyjału sukni a garnirunek stanowi skromna jedwabna wypustka ze sznureczkiem, albo obłożenie z piór lub futra.

Do kosztownych sukien z trenem, dają często tylko z przodu garnirunek, z tyłu zaś zdobią spódnicę fałdy głębokie, zaszyte od góry, a do dołu rozchodzące się sposobem wachlarzowym. Wzdłuż fałdów takich dane są trzy lub więcej sutych kokard, przepiętych klamrami.

Opis do N. 50.

(Dokończenie).

N. 38—40. Diadem z gwiazdek haftowanych na tiulu.

Rycina 39 podaje jedną z większych gwiazdek, w naturalnej wielkości; robią się one na tiulu wziętym podwójnie i dopełniają środeczkiem, odrobionym podług ryc. 40. Środek ten stanowi guziczek płócienny, osadzony na druciki i cały poszyty zwierzchu nitką złotą. Podstawę djademu stanowi tiul sztywny oszyty drucikiem, wielkość gwiazdek powinna zmniejszać się stopniowo, jak to widać na ryc. 38. Na włosach lekko zakarbowanych djadem taki ze złoconemi środeczkami w kwiatkach wyszytych jedwabiem, bardzo ładnie odbija.

N. 41. Opis przy ryc. 19.

N. 42. Pelerynka do balowego ubrania lub teatru.

Pelerynka z białego kaszmiru lub atłasu na jedwabnej podszewce, ozdobiona jest szerokiem oszyciem z futra naśladującego gronostaje. Oryginalne lecz bardzo efektowne oszycie można ułożyć z piórek gęsich lub puszystych indyczych, przyszywanych jedne tuż przy drugich a gdzie niegdzie przedzielanych czarnemi piórami. Koniecznem jest między atłas i podszewkę, wszyć piękny, biały barchan, na którym utrzyma się przyszycie piór.

Opis do N. 51.

N. 1. Ubranie spacerowe z vêtement i chusteczką. Krój vêtement jak do ryc. 41—43 w N. 48 Tygodnika.

Wełniana spódnica w dzikim popielatawym lub zielonawym kolorze, oszyta jest trzema skośnemi, mało nadmarszczonemi falbankami i dwiema wodami, z których dolna nieco szersza jest bez nagłówka, a górna z obydwóch stron zakończona wąziutkiemi falbaneczkami. Chusteczka podług znanej formy „Marie Antoinette” przykrojona, i vêtement z przodu na guziki i kokardy zapinane, są z piaskowego Buckskingu. Vêtement jest z boków mocno przymarszczone i przepięte patkami, majacemi 31 cent. długości, 5 górnej a $8 \frac{1}{2}$ dolnej szerokości. Chusteczka z przodu skrzyżowana, z tyłu zapięta kokardą ze wstążki. Obłożenie może być z futra, piór lub aksamitu; guziki są z rogu naśladującego szyldkret.

N. 2. Ubranie spacerowe z materyjału gładkiego i w pasy.

Ubranie to oznacza się głównie krojem i układem tiuniki, która z przodu podchodzi pod wolant, z jednego boku jest zapięta na guziki, a z drugiego podpięta w duży pukiel. Krój ten jest trudny i wymaga nader wprawnej ręki, dla tego ograniczamy się na rysunku tiuniki. Garnirunek jednak i połączenie materyjału gładkiego i w pasy, da się do każdego innego kroju zastosować. Na modelu przy sukni z popielatego *Limusinu*, rękawy, kołnierz z ranwersem, vêtement i szlak na falbanie, są z tegoż samego materyjału w pasy pąsowe na tle czarnem. Guziki z ciemnej konchy perłowej.

N. 3. Ubranie małej dziewczynki.

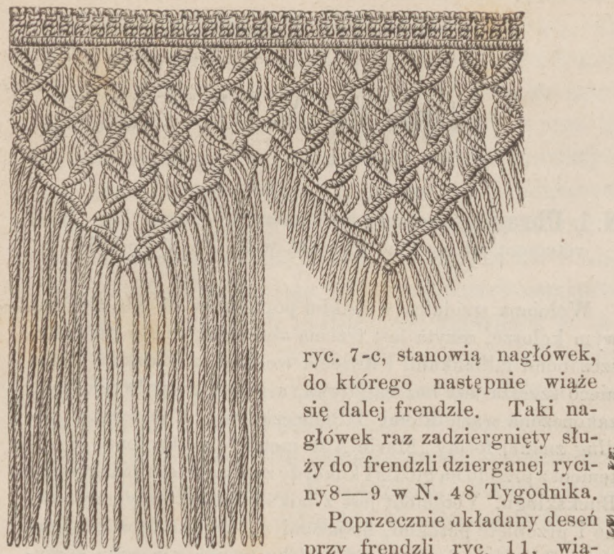
Matelassé i aksamit składają się na to strojne ubranie; nie mniej jednak dobrze wyglądać będzie, ciepły materyjał szkocki, używany na pledy, w połączeniu z aksamitem lub jakim wyrobem wełnianym.

N. 4—11. Rozmaite frendzle. Robota wiązana.

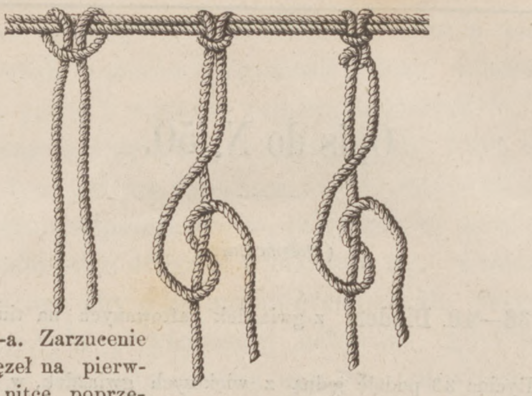
Podajemy dziś czytelniczkom naszym, próbki i opis pięknej i okazałej roboty, która jeszcze w 16 wieku, używana była do kosztownych, kościelnych koronek, a dziś służy do modnych frendzli i torsad. Stosownie do oznaczonego przeznaczenia, frendzla robiona być może z kręconej bawełny, nicianego kordonku, cienkiego sznureczka albo z kordonku jedwabnego, które wiązane są do dobrze wyprężonych nitek. rozpiętych na ciężkiej poduszce albo kamieniu od przypinania szycia. Kołdry na łóżka, rolety, płaszczyki, vêtement, krawatki i szarfy, ozdobione być mogą takiemi frendzlami. Do wyprobowania roboty, najlepiej użyć cienkiego sznureczka, z takiego też dla wydatności węzłów, podajemy nasze próbki. Ryc. 12 wskazuje sposób, rozpięcia poprzecznych nici, i wiązania ich przy kamieniu na ryc. 6—11 wskazujemy stopniowe zadziergiwanie węzłów, do czego najlepiej używać szydełka z dość długim haczykiem. Tylko supełki łączące węzły wiązane być muszą ręcznie. Szydełkiem więc zadziergują się węzły do poprzecznie rozciągniętych sznurków, wskazane na ryc. 7-a i 7-b, które jedne do drugich przysunięte podług



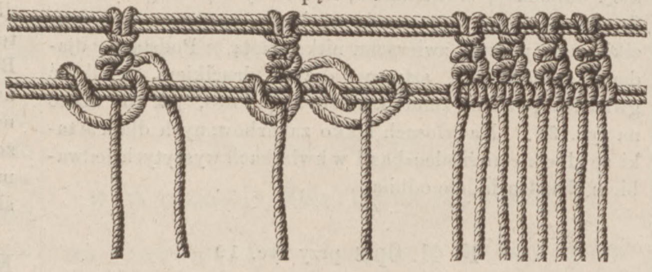
N. 1. Ubranie z vêtement i chusteczką. — N. 2. Ubranie z materyjału gładkiego i w paski. — N. 3. Ubranie małej dziewczynki.



N. 4. Frendzla w zęby. Robota wiązana.

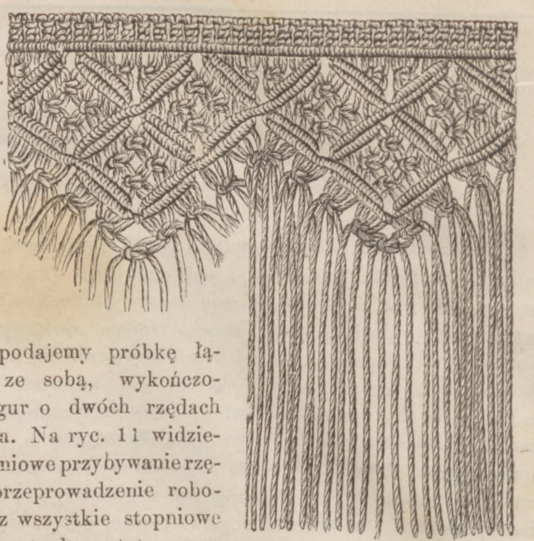


N. 6-a. Zarzucenie na węzeł na pierwszej nitce poprzecznej. N. 6-b. Pierwsza pętelka. N. 6-c. Druga pętelka.



N. 7 Zawiązanie węzłów na drugiej nitce poprzecznej.

N. 7-a. Pierwsza część węzła. N. 7-b. Druga część węzła. N. 7-c. Zakończony nagłówek.

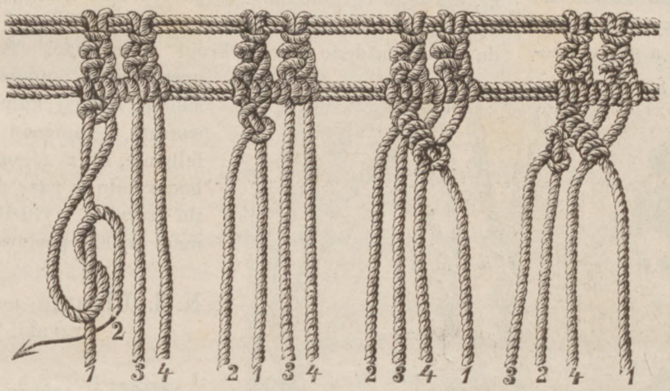


N. 5. Frendzla wiązana.

ryc. 7-c, stanowią nagłówek, do którego następnie wiąże się dalej frendzle. Taki nagłówek raz zadziergnięty służy do frendzli dzierganej ryciny 8—9 w N. 48 Tygodnika.

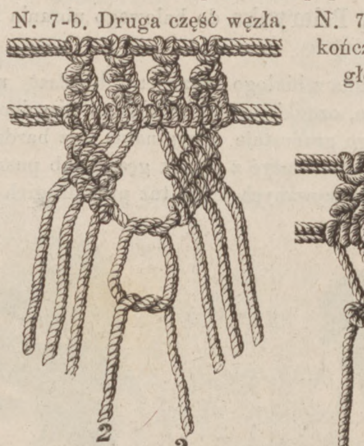
Poprzecznie układany deseń przy frendzli ryc. 11, wiązany jest ręcznie i powstaje z pojedynczych węzełków, układanych skośnie jeden przy drugim. Wiązanie iść może skośnie od ręki prawej do lewej jak na próbce ryc. 8, albo od lewej do prawej jak na ryc. 9. W pierwszym razie trzeba nitkę supełkową zakładać pod nitkę środkową, w drugim zarzuca ją się na wierzch, jak to wyraźnie widać na ryc. 8 i 9. Zmieniając ilość supełków i rzędów, otrzymamy rozmaite zmiany w deseniu. Główną zasadą przy wielkich takich robotach jest: że nitkę idącą w środek trzeba zawsze dobrze wyciągniętą, trzymać ręką lewą, a prawą wiązać na niej supełki.

Dla lepszego uwydatnienia w jaki sposób przekładają się i zmieniają nitki, ponumerowaliśmy je na ryc. 8 i 9, i wskazali zmiany od 1-go do ostatniego supełka. Na rycinie 10 podajemy próbkę łączenia ze sobą, wykończonych figur o dwóch rzędach wiązania. Na ryc. 11 widziemy stopniowe przybywanie rzędów i przeprowadzenie roboty przez wszystkie stopniowe zmiany, aż do ostatecznego podwójnego węzła. Na ryc 4, takie same figury układane są w zęby. Przy pasmanteryi nitki powinny być zamocowane i krótko przycięte, przy frendzli zrównane i długo spadające. Dla wymiarkowania jak długich nitek potrzeba, najlepiej każdy obrany wzór wpierw wypróbować, na czem i równość roboty zyska. Wyżej opisane figury w połączeniu ze zwykłemi zadziergniętemi węzłami, służyć mogą do układania różnych ładnych deseni; jedną próbkę takiej połączonej roboty, przedstawia ryc. 5.

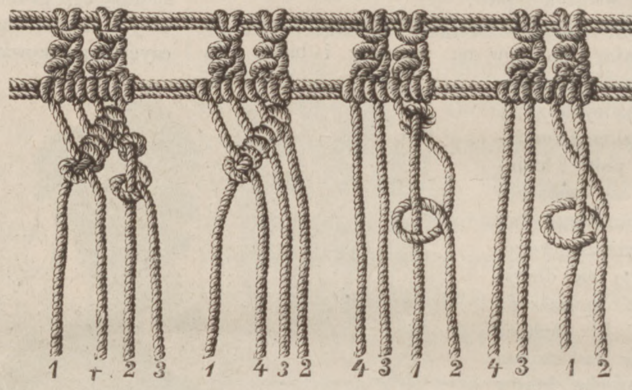


N. 9. Podwójne zarzucenie z lewej strony na prawą.

N. 9-a. Zarzucenie drugiej, pętelki podwójnego węzła. N. 9-b. Pierwszy podwójny węzeł skończony. N. 9-c. Wiązanie z nitek gładkich. N. 9-d. Zaczęcie drugiego wiązania.



N. 10. Obydwa wiązania.



N. 8. Podwójne zarzucanie z prawej strony na lewą.



N. 12. Kamień do szycia.

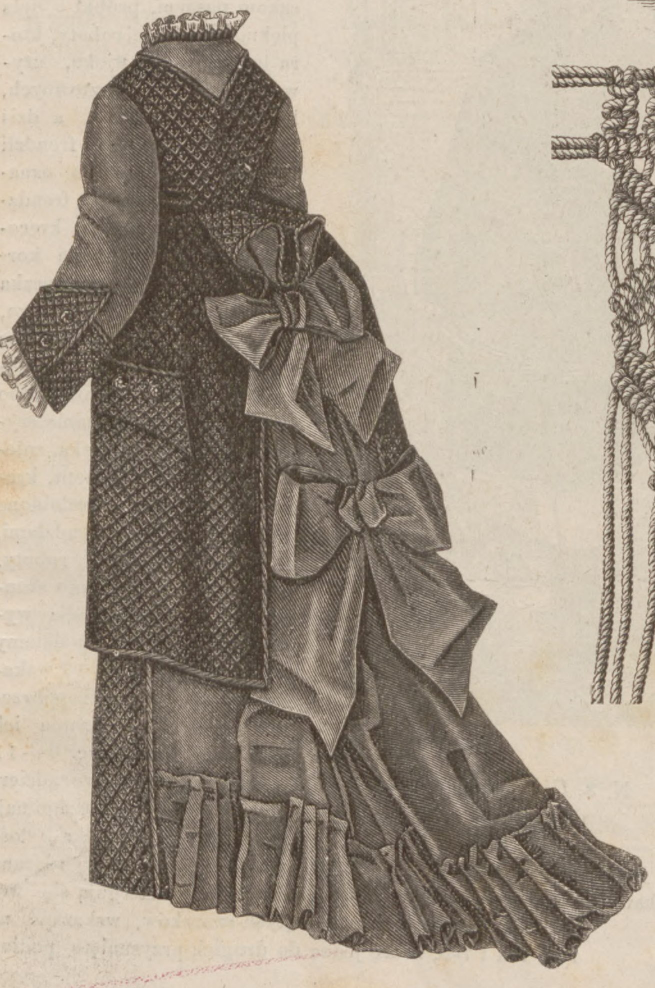
N. 12. Kamień do przypinania robót.

Odpowiednio odrobiony kamień, pokryty aksamitem, suknem, lub rypsem, służy do przypinania siatki, roboty wiązanej lub szycia. Boki pokrywa szlak haftowany kolorami; na środku wyszyć można złączone litery.

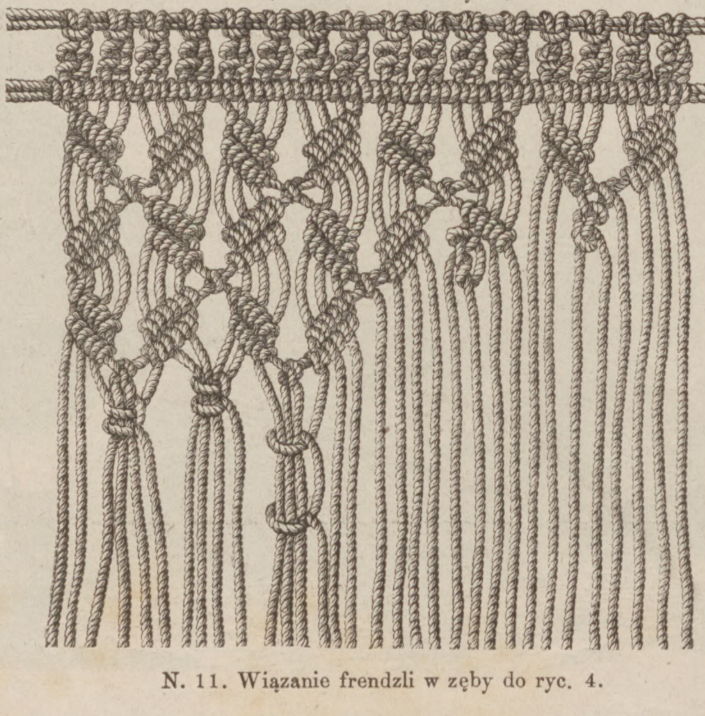
N. 13. Suknia z szalowem vêtement, podana z tyłu. Przód na ryc. 29 w N. 52.

N. 14. Suknia z przemarszczonym garnirunkiem.

Spódnica ciemno-szafirowej wełnianej sukni, ogarnirowana jest plisowanym, 17 cent. szerokim wolantem, na-



N. 13. Suknia z szalowem vêtement i kamizelką.



N. 11. Wiązanie frendzli w zęby do ryc. 4.



N. 14. Suknia przybrana bufkami marszczonemi.

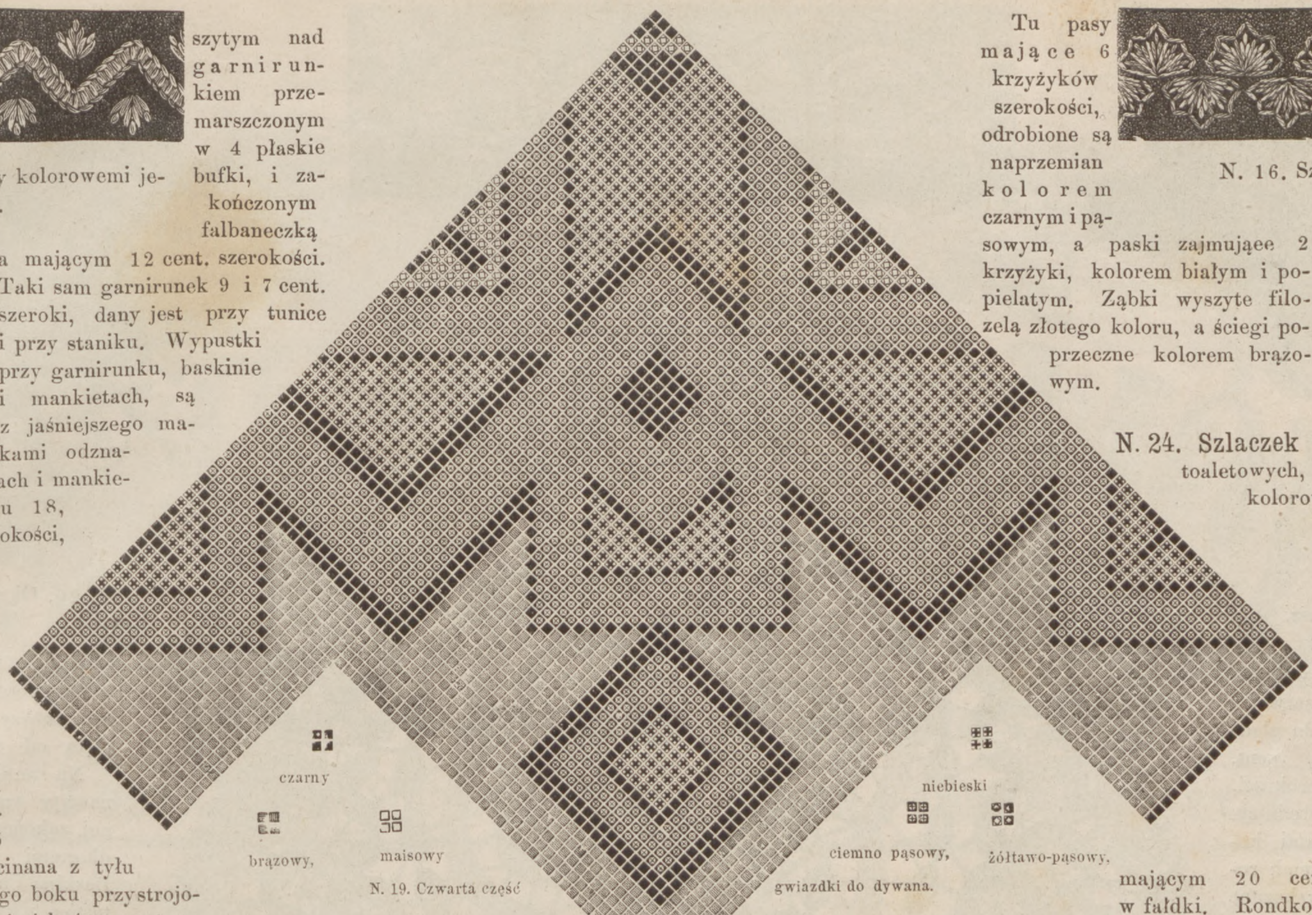


N. 15. Szlaczek haftowany kolorowemi jedwabiami.

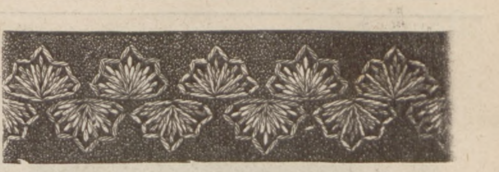


N. 17. Ząbki do poduszeczki na toaletę.

szytym nad garnirunkiem przemarszczonym w 4 płaskie bufki, i zakończonym falbaneczką a mającym 12 cent. szerokości. Taki sam garnirunek 9 i 7 cent. szeroki, dany jest przy tunice i przy staniku. Wypustki przy garnirunku, baskinie i mankietach, są z jaśniejszego materyjału; takiemiż rulonikami odznaczone są dziurki na patkach i mankietach, mających w środku 18, z brzegu 25 cent. wysokości, 20 cent. środkowej, a 35 brzeżnej długości. Guziki oszyte ciemniejszym materyjałem, służą do przyozdobienia i do zapięcia stanika. Tunika zwykłą formą spódnicy, ma z przodu 69, z tyłu 112 cent. długości, a 280 cent. dolnego obwodu; z przodu nierozcinana z tyłu w puf podpięta, a z jednego boku przystrojona jest szeroką szarfą, której końce oszyte są frendzlą.



N. 19. Czwarta część gwiazdki do dywana.



N. 16. Szlaczek haftowany.



N. 18. Ząbki do poduszeczki toaletowej.

Tu pasy mające 6 krzyżyków szerokości, odrobione są naprzemian kolorem czarnym i pąsowym, a paski zajmujące 2 krzyżyki, kolorem białym i popielatym. Ząbki wyszyte filozelą złotego koloru, a ściegi poprzeczne kolorem brązowym.

N. 24. Szlaczek do koszyczków, pudełek toaletowych, poduszek lub t. p. Haft kolorowy na suknie, aksamicie lub materyi.

N. 25. Kapelusz okrągły z główką sztywną.

Dziesięć cent. wysoka główka, kapelusza ciemno szafirowego, aksamitnego, opasana jest skośnie uciętym niebieskim rypsem, mającym 20 cent. szerokości, ułożonym w fałdki. Rondko w górę odwinięte, pokryte aksamisem, oszyte riuszą z piór niebieskich. Wysoko z przodu stojące ubranie, ułożone jest ze skośnie ciętego rypsu i aksamitu, 10 cent. szerokiego, obrąbionego krytym ściegiem.

Dwa długie pukle z tyłu, przepięte bukietem róż herbacianych, ułożone są z rypsu; wysokie pióra z tyłu przypięte, są także niebieskie i szafirowe.

N. 15—16. Szlaczki wyszyte kolorowym jedwabiem.

Szlaczki te wyszyte być mogą na aksamicie, suknie lub materyi, kordonkiem w kilku cieniach jednego koloru, albo w kilku odmiennych kolorach, służyć mogą do przyozdobienia różnych, drobnych przedmiotów jak, poduszeczki, pudełka, koszyków itd.

N. 17—18. Wyszywane szlaczki do poduszeczki. Rycina 10 w N. 52 Tygodnika.

N. 19—21. Desenie do roboty krzyżowej na dywanik. Ryc. 14 w N. 52.

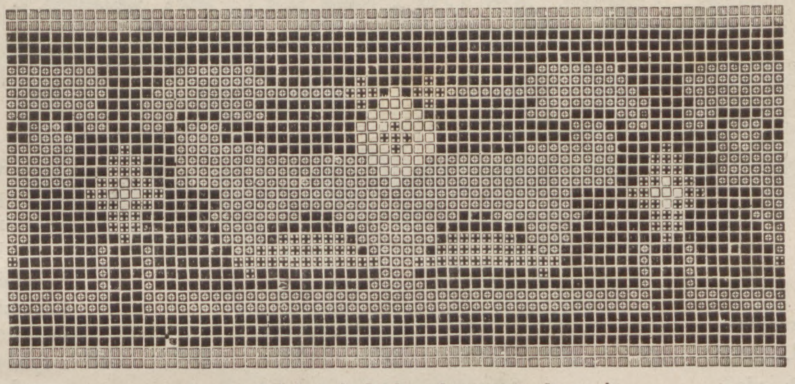
N. 22—23. Desenie do roboty krzyżowej na pantofle, ławeczki pod nogi, torby i t. p.

Obadwa robią się włóczką angielską i filozelą, których kolory najrozmaiciej zmieniane i podług gustu dobierane być mogą.

N. 22. Deseń w pasy i rzucik.

Na pasach odrobionych na przemian dwoma cieniami koloru wiśniowego, i zakończonych rzędami krzyżyków czarnych, rzucik jest także czarny, a długie ściegi wyszyte są filozelą złotego koloru. Takąż filozelą wyszywa się wązki szlaczek między pasami.

N. 23. Deseń w pasy i ząbki.



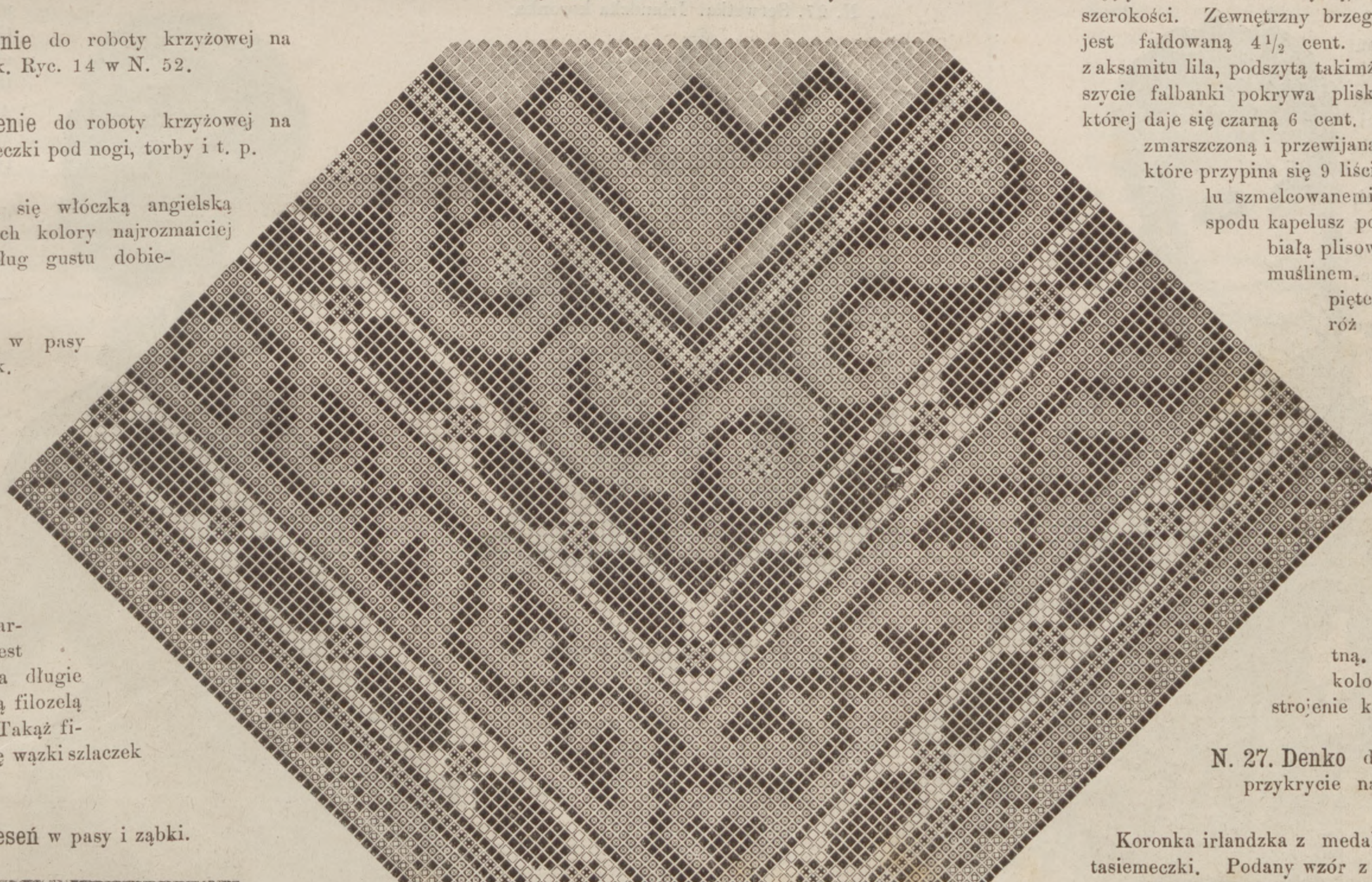
N. 20. Szlak w koło kwadratów w dywanie.

N. 26. Kapelusz okrągły z miękką główką.

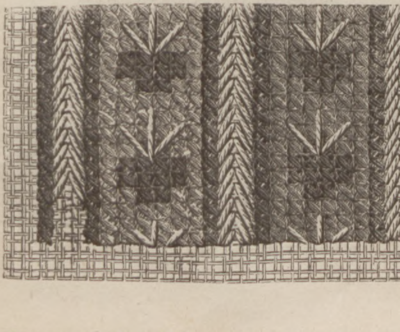
Bufiastą główkę kapelusza, układa się z rypsu pawiego koloru, podłożonego czarnym, sztywnym tiulem, na zeszytym w kółko pasku tiulowym, objętym drucikiem i wstążką, a mającym 2 cent. szerokości. Zewnętrzny brzeg kapelusza oszyty jest fałdowaną 4 $1/2$ cent. szeroką falbanką z aksamitu lila, podszytą takimże rypsem; przyszycie falbanki pokrywa pliska aksamitna, na której daje się czarną 6 cent. szeroką koronkę, zmarszczoną i przewijaną w zęby, między które przypina się 9 liści, naszytych na tiulu szmelcowanemi perełkami. Od spodu kapelusz podgarnirowany jest białą plisowaną *crêpe lise* albo muślinem. Na pukle przepięte z tyłu gałązką róż herbacianych, potrzeba skośnego kawałka rypsu lila, mającego 12 $1/2$ cent. szerokości a 70 cent. długości, który z jednej strony oszywa się 3 cent. szeroką pliską aksamitną. Pióra pawiego koloru dopełniają przystrojenie kapelusza.

N. 27. Denko do czepeczka albo przykrycie na poduszeczkę.

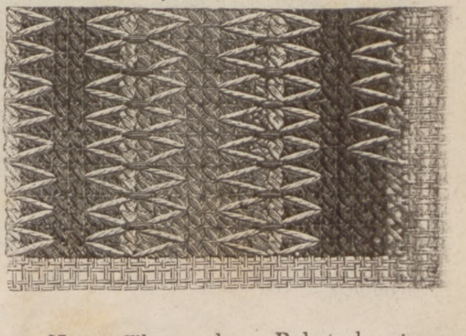
Koronka irlandzka z medaljonowej i gładkiej tasiemeczki. Podany wzór z łatwością da się



N. 21. Szlak brzeżny z narożnikiem, do dywanu, który w przyszłym zamieścimy w N-rze. Patrz ryc. 19—20.



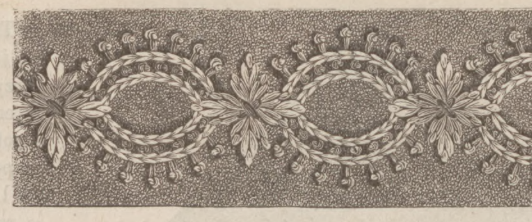
N. 22. Tło w pasy. Robota krzyżowa.



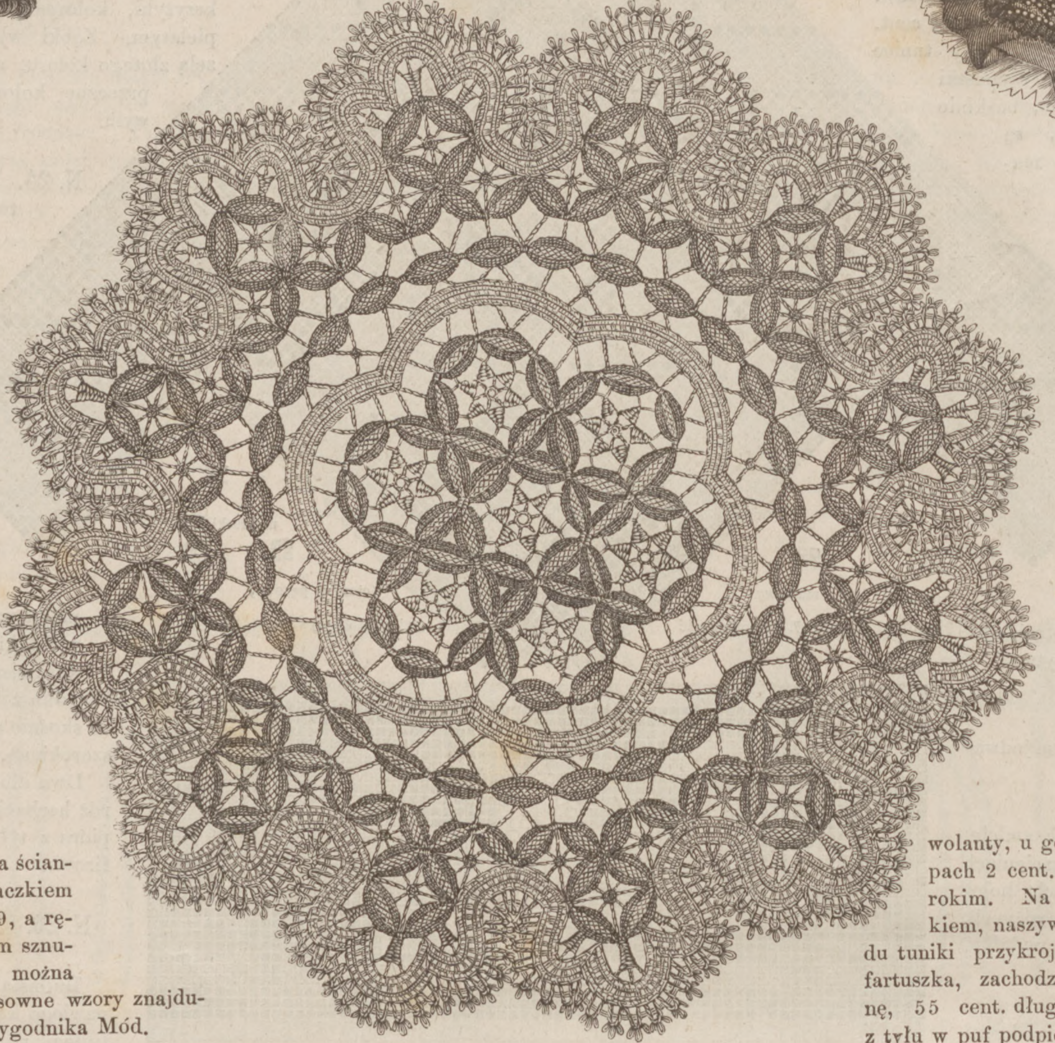
N. 23. Tło w zęby. Robota krzyżowa



N. 25. Okrągły kapelusz.



N. 24. Szlaczek. Haft kolorowy.



. N. 27. Serwetka. Irlandzka koronka.



N. 26. Okrągły kapelusz z główką z bufki.

powiększyć i oprócz wyżej wskazanych celów zużytkować na serwetki do mebli lub t. p.; w modelu gładka tasiemeczka miała $^1/_2$ cent. a medalijonowa $^3/_4$ cent. szerokości, denko trzymało 26 cent. średnicy. Brzegi oszywa się pikotami koronkowemi $^3/_4$ cent. szerokiemi; rodzaje kratek widocznie wskazane są na rysunku.

N. 28—29. Postument drewniany do butelek, ozdobiony haftem perełkowym.

Postument z ciemno bejcowanego i czarnego politurowanego drzewa, ma ścianki dolnych podstawek ozdobione szlaczkiem perełkowym, odrobiony podług ryc. 29, a rękojeść okręconą kolorowym, jedwabnym sznurem z kwastami. W miejsce perełek można użyć roboty krzyżowej, na którą stosowne wzory znajdują się w poprzedzających numerach Tygodnika Mód.

N. 30—31. Stanik z baskiną, ubrany torsadą lub plecioną taśmą.

Dwa i pół cent. szerokie czarne wełniane taśmy i czarne szlifowane guziki, służą do przybrania stanika od granatowej wełnianej sukni, który podajemy z przodu i z tyłu, na ryc. 30—31. Kreza i 6 $^1/_2$ cent. szeroki ranwers z tego co suknia materyjału naszyty jest w ten sposób na staniku, że zarazem tworzy kołnierz i odznacza rozpiętą od dołu kamizelkę.

Na ranwersie w odstępie 3 cent. naszyty szamerunek z taśmy czarnej, zakończony pętelkami 2 $^1/_2$ cent. długiemi przepinanemi guzikami. Baskina u dołu oszyta gładko taśmą, z której także dodane 3 pasy podłużne na plecach. Z tyłu pod baskiną dodane w sposób wskazany na rycinie, dwie patki mające 34 cent. długości a 16 szerokości.

Garnirunek spódnicy stanowią dwa skośne, 16 cent. szerokie wolanty, u góry dwa razy przemarszczone, w odstępach 2 cent., a zakończone nagłówkiem 3 cent. szerokim. Na dwa cent. od dołu, nad wązkim obrąbkiem, naszywa się raz taśmę na wolantach. Od przodu tuniki przykrojonej nakształt szerokiego kuchennego fartuszka, zachodzą do tyłu części stanowiące drugą baskinę, 55 cent. długą, pod które dodaje się oddzielny bryt z tyłu w puf podpięty, mający 113 cent. długości i tyleż szerokości. Dolny obwód przedniej części wraz z baskiną wynosi 300 cent. Górna część tunik, oprócz taśmy ozdobiona jest pętelkami 4 cent. długiemi; tylny bryt oszyty tylko gładką taśmą.

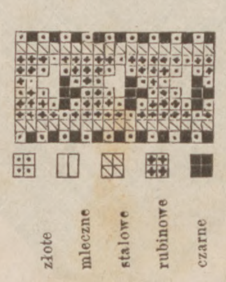
Krój stanika jak do ryc. 21 w N-rze 46 Tygodnika Mód.



N. 30. Stanik z baskiną.



N. 28. Postument do butelek.



N. 29. Szlaczek z perełek do ryciny 28.



N. 31. Przybrany stanik z baskiną.